

DOŁĘGA-MOSTOWICZ
TADEUSZ

ZNACHOR

Dołęga-Mostowicz Tadeusz

Znachor

«Public Domain»

Tadeusz D.

Znachor / D. Tadeusz — «Public Domain»,

Nie wiem, czy zdołasz wybaczyć mi kiedykolwiek to, że odchodzę... Nie są to słowa, których Rafał Wilczur, wybitny warszawski chirurg, spodziewał się w ósmą rocznicę ślubu. To jednak dopiero początek jego nieszczęść — snując się bez celu po mieście wpada w ręce bandytów, zostaje okradziony, pobity i zrzucony do rowu ze śmieciami. Wszelki słuch po doktorze Wilczurze ginie. Kilkanaście lat później pewien człowiek bez imienia kradnie cudzy akt urodzenia i rozpoczyna nowe życie jako Antoni Kosiba. Wkrótce okazuje się, że ma niezwykły talent znachorski, potrafi pomóc tam, gdzie lekarze załamali ręce. Jego sława zatacza coraz szersze kręgi, ku wściekłości miejscowego doktora. W końcu Kosiba trafia przed oblicze sądu... Powieści Tadeusza Dołęgi-Mostowicza, autora Kariery Nikodema Dyzmy, cieszyły się ogromną popularnością — wiele z nich zostało sfilmowanych. Sam Znachor doczekał się dwóch ekranizacji, w 1937 w reżyserii Michała Waszyńskiego i w 1982 w reżyserii Jerzego Hoffmana.

© Tadeusz D.

© Public Domain

Содержание

Rozdział I	5
Rozdział II	21
Rozdział III	26
Rozdział IV	30
Rozdział V	34
Rozdział VI	43
Конец ознакомительного фрагмента.	47

Tadeusz Dołęga-Mostowicz

Znachor

Rozdział I

W sali operacyjnej panowała zupełna cisza. Z rzadka przerywał ją ostry, krótki brzęk metalowych narzędzi chirurgicznych na szklanej płycie. Powietrze nagrzane do trzydziestu siedmiu stopni Celsjusza przenikał słodkawy zapach chloroformu i surowa woń krwi, które przenikając przez respiratory napełniały płuca nieznośną mieszaniną. Jedna z sanitariuszek zemdlała w kącie sali, lecz nikt z pozostałych nie mógł odejść od stołu operacyjnego, by ją ocucić. Nie mógł i nie chciał. Trzej asystujący lekarze nie spuszczaali czujnego wzroku z otwartej czerwonej jamy, nad którą poruszały się wolno i zdawało się niezgrabnie wielkie, grube ręce profesora Wilczura.

Każdy najmniejszy ruch tych rąk trzeba było zrozumieć natychmiast. Każde mruknięcie wydobywające się od czasu do czasu spod maski zawierało dyspozycję zrozumiałą dla asystentów i wykonywaną w mgnieniu oka. Szło przecie nie tylko o życie pacjenta, lecz i o coś znacznie ważniejszego, o udanie się tej szaleńczej, beznadziejnej operacji, która stać się mogła nowym wielkim triumfem chirurgii i przynieść jeszcze większą sławę nie tylko profesorowi, nie tylko jego lecznicy i uczniom, lecz całej nauce polskiej.

Profesor Wilczur operował wrzód na sercu. Trzymał je oto w lewej dłoni i rytmicznym ruchem palców masował nieustannie, gdyż wciąż słabło. Przez cienką gumową rękawiczkę czuł każde drgnięcie, każdy lekki bulgot, gdy zastawki odmawiały posłuszeństwa i drętwiejącymi palcami zmuszał je do pracy. Operacja trwała już czterdzieści sześć minut. Czuwający nad pulsem doktor Marczewski już po raz szósty zanurzał pod skórę pacjenta igłę szprycki z kamforą i atropiną.

Prawa ręka profesora Wilczura raz po raz połyskiwała krótkimi ruchami lancetów i łyżek. Na szczęście wrzód nie sięgał głęboko w mięsień sercowy i ukształtował się płytkim, prawidłowym stożkiem. Życie tego człowieka było do uratowania. Oby wytrzymał jeszcze osiem, dziewięć minut.

„A jednak nikt z nich nie odważył się!” – chętnie pomyślał profesor. Tak, nikt, żaden chirurg ani w Londynie, ani w Paryżu, w Berlinie czy Wiedniu. Przywieźli go do Warszawy, wyrzekając się i sławy, i kolosalnego honorarium. A to honorarium to dobudowanie nowego pawilonu lecznicy i coś ważniejszego, bo podróż Beaty z małą na Wyspy Kanaryjskie. Na całą zimę. Ciężko będzie bez nich, ale robi to im doskonale. Nerwy Beaty w ostatnich czasach...

Sinaworóżowawa poduszka płuca wzdęła się spazmatycznym oddechem i skurczyła się nagle. Raz, drugi, trzeci. Kawałek żywego mięsa w lewej dłoni profesora zadygotał. Z małej ranki na fioletową błonę spłynęło kilka kropli krwi. W oczach wszystkich obecnych zamigotało przerażenie. Rozległ się cichy syk tlenu, a igła rekordu wniknęła znowu pod skórę chorego. Grube palce profesora ścisnęły się i otwierały rytmicznie.

Jeszcze kilka sekund i ranka była oczyszczona. Cieniutka nić chirurgiczna miała teraz dokonać dzieła. Jeden, drugi, trzeci szew. To było wprost nie do uwierzenia, że te ogromne ręce zdolne są do takiej precyzji. Ostrożnie złożył serce i przez chwilę wpatrywał się w nie uważnie. Pęczniało i wiotczało nierównym tempem, ale niebezpieczeństwo już minęło. Wyprostował się i dał znak. Z płacht sterylizowanych płócien doktor Skórzeń wydobyl wypitłowaną część klatki piersiowej. Jeszcze kilka niezbędnych zabiegów i profesor odetchnął. Reszta należała już do asystentów. Mógł im w zupełności zaufać. Wydał kilka dyspozycji i przeszedł do ubieralni.

Z rozkoszą odetchnął tu normalnym powietrzem, zdjął respirator, rękawiczki, fartuch i kitel zabryzgane krwią i przeciągnął się. Zegar wskazywał drugą trzydzieści pięć. Znowu spóźnił się na obiad. I to w taki dzień. Beata wprawdzie wie, jak ważną ma dziś operację, ale niewątpliwie spóźnienie w takim dniu sprawi jej dużą przykrość. Umyślnie wychodząc z rana z domu niczym po sobie nie dał

poznać, że pamięta tę datę: ósma rocznica ich ślubu. Ale Beata wiedziała, że zapomnieć nie mógł. Co roku tego dnia otrzymywała jakiś piękny prezent, co roku piękniejszy i co roku droższy, w miarę jak rosła jego sława i jego majątek. I teraz już na pewno w gabinecie na parterze jest nowy. Kuśnierz musiał już rano przysłać...

Profesor śpieszył się i przebrał szybko. Musiał jednak zajrzeć jeszcze do dwóch chorych na drugim piętrze i do pacjenta operowanego przed chwilą. Czuwający przy nim doktor Skórzeń zaraportował krótko:

– Temperatura trzydzieści pięć i dziewięć, ciśnienie sto czternaście, puls bardzo słaby z lekką arytmią sześćdziesiąt do sześćdziesiąt sześć.

– Dzięki Bogu – profesor uśmiechnął się doń.

Młody lekarz obrzucił wzrokiem pełnym uwielbienia ogromną, niedźwiedziową postać szefa. Był jego słuchaczem na Uniwersytecie. Pomagał mu w przygotowaniu materiałów do jego dzieł naukowych, póki jeszcze profesor pracował naukowo, odkąd zaś otworzył własną lecznicę, doktor Skórzeń znalazł tu dobrą pensję i duże pole pracy. Może żałował w duchu, że szef wyrzekł się tak nagle ambicji uczonego, że ograniczył się do belferki uniwersyteckiej i do robienia pieniędzy, ale nie mógł go z tej racji mniej cenić. Wiedział przecież, jak i wszyscy w Warszawie, że profesor nie robił tego dla siebie, że pracował niczym niewolnik, że nigdy nie zawahał się wziąć na siebie odpowiedzialności, a często dokazywał takich cudów jak dziś.

– Pan jest geniuszem, profesorze – powiedział z przekonaniem.

Profesor Wilczur zaśmiał się swoim niskim, dobronudnym śmiechem, który takim spokojem i ufnością napełniał jego pacjentów.

– Bez przesady, kolego, bez przesady! I wy do tego dojdziecie. Ale przyznam, że jestem kontent. W razie czego każcie dzwonić do mnie. Chociaż sądzę, że obejdzie się bez tego. I wolałbym, bo mam dziś... święto domowe. Już tam pewno dzwonili, że obiad się przysmali...

I profesor nie mylił się. W jego gabinecie już kilka razy odzywał się telefon.

– Proszę zawiadomić pana profesora – mówił lokaj – by jak najprędzej wracał do domu.

– Pan profesor jest na sali operacyjnej – za każdym razem z jednakową flegmą odpowiadała sekretarka, panna Janowiczówna.

– Cóż to tak szturmują, u licha?! – odezwał się wchodząc naczelnym lekarz, doktor Dobraniecki.

Panna Janowiczówna przekreśliła wałek w maszynie i wyjmując gotowy list, powiedziała:

– Dziś rocznica ślubu profesorostwa. Zapomniał pan? Ma pan przecież zaproszenie na bal.

– Ach, prawda. Spodziewam się niezłej zabawy... Jak zawsze u nich będzie wyśmienita orkiestra, luksusowa kolacja i najlepsze towarzystwo.

– Zapomniał pan, o dziwo, o pięknych kobietach – zauważyła ironicznie.

– Nie zapomniałem. Skoro pani tam będzie... – odciął się.

Na chude policzki sekretarki wystąpił rumieniec.

– Niedowcipne – wzruszyła ramionami. – Choćbym była najpiękniejsza, nie liczyłabym na pańską uwagę.

Panna Janowiczówna nie lubiła Dobranieckiego. Podobał się jej jako mężczyzna, bo istotnie był bardzo przystojny z tym orlim nosem i wysokim, dumnym czołem, wiedziała, że jest świetnym chirurgiem, bo sam profesor powierzał mu najtrudniejsze operacje i przeforsował go na stanowisko docenta, uważała go jednak za zimnego karierowicza, polującego na bogate małżeństwo, a poza tym nie wierzyła w jego wdzięczność dla profesora, któremu przecież wszystko zawdzięczał.

Dobraniecki był dość subtelny, by wyczuć tę niechęć. Ponieważ jednak miał zwyczaj nie narażać sobie nikogo, kto mógłby mu w czymkolwiek zaszkodzić, odezwał się pojednawczo, wskazując na stojące przy biurku pudło:

– Sprawiała pani sobie już nowe futro? Widzę pudło od Porajskiego.

– Nie stać mnie w ogóle na Porajskiego, a zwłaszcza na takie futro.

– Aż „takie”?

- Niech pan zajrzy. Czarne sobole.
- Fiu, fiu. Dobrze się powodzi pani Beacie.

Pokiwał głową i dodał:

- Przynajmniej materialnie.
- Co pan przez to rozumie?
- Nic.

– Wstydziliby się pan – wybuchła. – Takiego męża i tak kochającego mogłaby pozazdrościć jej każda kobieta.

- Zapewne.

Panna Janowiczówna przeszła go gniewnym wzrokiem.

– Ma wszystko, o czym kobieta może marzyć! Ma młodość, urodę, cudną córeczkę, sławnego i powszechnie uwielbianego męża, który pracuje dniami, nocami, by zapewnić jej wygodę, zbytki, znaczenie w świecie. I upewniam pana, doktorze, że ona to umie docenić!

- I ja nie wątpię – skinął lekko głową – tylko wiem, że kobiety najwyższej cenią... .

Nie dokończył, gdyż do gabinetu wpadł doktor Bang i zawołał:

- Zdumiewające! Udało się! Będzie żył!

Z entuzjazmem zaczął opowiadać przebieg operacji, przy której asystował.

– Jeden tylko nasz profesor mógł się porwać na to!... Pokazał, co umie – zawołała panna Janowiczówna.

– No, nie przesadzajmy – odezwał się doktor Dobraniecki. – Moi pacjenci nie zawsze są lordami i milionerami, może nie zawsze mają sześćdziesiątkę, ale historia zna cały szereg pomyślnych operacji serca. Nawet historia naszej medycyny. Warszawski chirurg doktor Krajewski taką właśnie operacją zdobył światowy rozgłos. A było to trzydzieści lat temu!

W gabinecie zebrało się jeszcze kilka osób z personelu lecznicy i gdy po chwili zjawił się profesor, zasypano go gratulacjami.

Słuchał ich z uśmiechem zadowolenia na swojej czerwonej, wielkiej twarzy, lecz wciąż rzucał okiem na zegarek. Minęło jednak dobrych dwadzieścia minut, zanim znalazł się na dole w swojej dużej, czarnej limuzynie.

- Do domu – rzucił szoferowi i rozsiadł się wygodnie.

Znużenie miało szybko. Był zdrow i silny, a chociaż dzięki swojej tuszy wyglądał nieco starzej, miał przecież tylko czterdzieści trzy lata, czuł się jeszcze młodszym. Czasami po prostu jak smarkacz. Przecie umiał z małą Mariolą koziołkować na dywanie lub bawić się w chowanego nie tylko dla jej przyjemności, ale i dla własnej.

Beata nie chciała tego zrozumieć i gdy przyglądała się mu w takich chwilach, miała w wyrazie oczu coś jakby zażenowanie i obawę.

- Rafale – mówiła – gdyby cię tak zobaczono!

- Może zaangażowano by mnie wówczas na freblankę¹ – odpowiadał ze śmiechem.

A w gruncie rzeczy robiło mu się w takich chwilach trochę przykro. Beata niewątpliwie była najlepszą żoną na świecie. Na pewno go kochała. Dłaczego jednak odnosiła się doń z tym niepotrzebnym szacunkiem, z jakąś jakby czcią? W jej dbałości i pieczołowitości było coś z liturgii. W pierwszych latach przypuszczał, że się go boi, i robił wszystko, by to usunąć. Opowiadał o sobie najkomiczniejsze rzeczy, zwierzał się jej ze swoich omyłek, niezaszczytnych przygód studenckich, starał się wyrugować z jej główki najmniejszą myśl o tym, że nie są zupełnie równi. Przeciwnie, na każdym kroku podkreślał, że żyje tylko dla niej, że pracuje tylko dla niej i że tylko przez nią jest szczęśliwy. Zresztą była to szczerza prawda.

Kochał Beatę do szaleństwa i wiedział, że ona odplaca mu równą miłością, chociaż cichą i mniej impulsywną. Zawsze była taka pastelowa i delikatna jak kwiat. Zawsze miała dlań uśmiech

¹ freblanka – przedszkolanka. [przypis edytorski]

i dobre słowa. I myślałby, że nie potrafi być inna, gdyby nie to, że widział ją nieraz rozbawioną, wybuchającą raz po raz głośnym śmiechem, żartobliwą i zalotną, ilekroć otaczała ją towarzystwo młodzieży i ilekroć nie wiedziała, że on na nią patrzy. Na głowie stawał, by przekonać ją, że jest bardziej od innych, od najmłodszych, gotów do takiej beztroskiej zabawy – na próżno. Wreszcie z biegiem czasu pogodził się z tym, wyperswadował sobie pretensje do dalszego spotęgowania i tak olbrzymiego swego szczęścia.

I tak przysłała ósma rocznica ich ślubu, ósma rocznica wspólnego życia niezakłóconego ani razu najmniejszą sprzeczką, najdrobniejszym sporem czy bodaj cieniem nieufności, za to ileż razy rozświetlonego tysiącem chwil i godzin radości, pieszczot, zwierzeń...

Zwierzeń... Właściwie tylko on się jej zwierzał ze swych uczuć, myśli, planów. Beata nie umiała tego lub też jej życie wewnętrzne było zanadto jednolite, zanadto proste... Może zanadto – Wilczur skarcił siebie za to określenie – zanadto ubogie. Uważał, że uwłacza to Beacie, że ją skrzywdził, tak o niej myśląc. Jeżeli jednak było tak naprawdę, tym większa tkliwość napełniała jego serce.

– Ogłuszam ją – mówił do siebie – oszołamiam sobą. Jest taka inteligentna i tak subtelna. Stąd drażliwość i obawa, by nie okazać mi, że jej sprawy są drobne, codzienne, pospolite.

Doszedłszy do takiego wniosku starał się wynagrodzić jej tę krzywdzącą dysproporcję. Wnikał z największą uwagą i z przejęciem w szczególności domowe, interesował się jej strojami, perfumami, podchwytował każde słówko projektów towarzyskich czy dotyczących pokoju dziecinnego i rozważał je z takim zajęciem, jakby chodziło o kwestie naprawdę ważne.

Bo i były dlań ważne, ważniejsze ponad wszystko, skoro wierzył, że szczęście należy pielęgnować z największą troskliwością, skoro rozumiał, że te nieliczne, wyrwane z pracy godziny, które może Beacie poświęcić, musi napełnić jak najintensywniejszą treścią, jak największym ciepłem...

Auto stanęło przed piękną, białą willą, niewątpliwie najładniejszą w całej Alei Bzów, a jedną z najelegantszych w Warszawie.

Profesor Wilczur wyskoczył, nie czekając, aż szofer otworzy drzwiczki, wziął z jego rąk pudło z futrem, szybko przebiegł chodnik i dróżkę, własnym kluczem otworzył drzwi i zamknął je jak najciszej za sobą. Chciał Beacie zrobić niespodziankę, którą ułożył sobie jeszcze przed godziną, gdy pochylony nad otwartą klatką piersiową operowanego obserwował powikłany splot aort i wen².

W hallu jednak zastał Bronisława i starą gosposię Michałową. Widocznie Beata nie była w dobrym humorze z powodu jego spóźnienia, gdyż mieli miny przeciągnięte i widocznie nań czekali. Profesorowi psuło to plany i ruchem ręki kazał się im wynosić.

Pomimo to Bronisław odezwał się:

– Panie profesorze...

– Ćśśś!... – przerwał mu Wilczur i marszcząc brwi dodał szeptem – weź palto!

Służący chciał znowu coś powiedzieć, lecz tylko poruszył ustami i pomógł profesorowi rozebrać się.

Wilczur prędko otworzył pudło, wyjął zeń piękne palto z czarnego, lśniącego futra o długim, jedwabnym włosie, narzucił je sobie na ramiona, na głowę włożył zawadiacko kołpaczek z dwoma filuternie zwisającymi ogonkami, na rękę wsunął mufkę i z rozradowanym uśmiechem przejrzał się w lustrze: wyglądał arcykomicznie.

Rzucił okiem na służbę, by sprawdzić wrażenie, lecz we wzroku gosposi i lokaja było tylko zgorszenie.

„Głuptasy” – pomyślał.

– Panie profesorze... – zaczął znowu Bronisław, a Michałowa zadreptała na miejscu.

– Milczeć, do licha – szepnął i wymijając ich, otworzył drzwi do salonu.

² wena – tu: żyła. [przypis edytorski]

Spodziewał się zastać Beatę z małą albo w różowym pokoju, albo w buduarze.

Przeszedł sypialnię, buduar, dziecinny. Nie było ich. Zawrócił i zajrzał do gabinetu. I tu było pusto. W jadalni, na ukwieconym stole, połyskującym złoceniami porcelany i kryształami, były dwa nakrycia. Mariola z miss Tholereed jadały razem wcześniej. W otwartych drzwiach do kredensu stała pokojówka. Miała twarz zapłakaną i zapuchnięte oczy.

– Gdzie jest pani? – zapytał zaniepokojony.

Dziewczyna w odpowiedzi wybuchła łkaniem.

– Co to jest? Co się stało?! – zawołał, już nie hamując głosu. Przecucie jakiegoś nieszczęścia chwyciło go za gardło.

Gospodyni i Bronisław wsunęli się cicho do jadalni i w milczeniu stali pod ścianą. Powiódł po nich przerażonym spojrzeniem i krzyknął rozpaczliwie:

– Gdzie jest pani?!

Nagle wzrok jego zatrzymał się na stole. Przy jego nakryciu oparty o wysmukły kryształowy kieliszek stał list. Bładoniebieska koperta z wysrebrzonymi brzeżkami.

Serce skurczyło się mu gwałtownie, w głowie zawirowało. Jeszcze nie rozumiał, jeszcze nic nie wiedział. Wyciągnął rękę i wziął list, który wydał mu się sztywny i martwy. Przez chwilę trzymał go w palcach. Na kopercie adresowanej do niego poznał charakter pisma Beaty. Duże, kanciaste litery.

Otworzył i zaczął czytać:

„Drogi Rafale! Nie wiem, czy zdołasz wybaczyć mi kiedykolwiek to, że odchodzę...”

Wyrazy zaczęły drgać i wirować przed oczami. W płucach zabrakło powietrza, na czole wystąpiły krople potu.

– Gdzie ona jest – krzyknął zdławionym głosem – gdzie ona jest?!

I potoczył wzrokiem dokoła.

– Pani odjechała z panienką – wybąkała cicho gosposia.

– Kłamiesz! – ryknął Wilczur. – To nieprawda!

– Sam sprowadziłem taksówkę – przyświadczył rzetelnym tonem Bronisław, a po pauzie dodał – i walizki znosiłem. Dwie walizki...

Profesor, zataczając się, wyszedł do sąsiedniego gabinetu, zamknął za sobą drzwi i oparł się o nie. Próbował czytać dalej list, lecz minęło sporo czasu, zanim potrafił zmusić się do zrozumienia treści.

„Nie wiem, czy zdołasz wybaczyć mi kiedykolwiek to, że odchodzę. Postępuję podle, wypłacając Ci się tą krzywdą za Twoją wielką dobroć, której nigdy nie zapomnę. Ale dłużej zostać nie mogłam. Przysięgam Ci, że miałam tylko jedno inne wyjście: śmierć. Jestem jednak tylko słabą i biedną kobietą. Nie umiałam zdobyć się na heroizm. Od wielu miesięcy walczyłam z tą myślą. Może nigdy nie będę szczęśliwa, może nigdy nie zaznam spokoju. Ale nie miałam prawa odbierać siebie naszej Marioli i – jemu.

Piszę chaotycznie, lecz trudno mi zebrać myśli. Dziś rocznica naszego ślubu. Wiem, żeś przygotował, drogi Rafale, jakiś podarek dla mnie. Byłoby to nieuczciwe, gdybym przyjęła go od Ciebie teraz, gdy już nieodwołalnie postanowiłam odejść.

Pokochałam, Rafale. I ta miłość silniejsza jest ode mnie. Silniejsza od wszystkich uczuć, jakie żywię i zawsze żywiłam dla Ciebie, od bezgranicznej wdzięczności do najgłębszego szacunku i podziwu, od szczerzej życzliwości do przywiązania. Niestety, nie kochałam Cię nigdy, lecz dowiedziałam się o tym dopiero wtedy, gdy na swojej drodze spotkałam Janka.

Odjeżdżam daleko i miej nade mną miłosierdzie: nie szukaj mnie! Błagam, ulituj się nade mną! Wiem, że jesteś wielkoduszny i nadludzko dobry. Nie proszę Cię, Rafale, o przebaczenie. Nie zasłużyłam na nie i zdaję sobie sprawę z tego, że masz prawo nienawidzić i pogardzać.

Nigdy nie byłam godna Ciebie. Nigdy nie sięgałam do Twego poziomu. Sam o tym wiesz aż nadto dobrze i jedynie Twojej dobroci przypisuję to, żeś zawsze starał się nie okazać mi tego, co

jednak było ponad wszelką miarę dla mnie poniżające i dręczące. Otoczyłeś mnie zbytkiem i ludźmi swego świata. Zasypywałeś mnie cennymi prezentami. Ale ja widocznie nie byłam stworzona do takiego życia. Męczył mnie i wielki świat, i bogactwo, i Twoja sława i – moja nicość przy tobie.

Teraz świadomie idę w nowe życie, gdzie może czeka mnie ostateczna bieda, a w każdym razie ciężka walka o każdy kawałek chleba. Ale walkę tę toczyć będę obok i razem z człowiekiem, którego bezbrzeżnie kocham. Jeżeli swoim czynem nie zabijam szlachetności Twego serca, jeżeli potrafisz, zaklinam Cię, zapomnij o mnie. Na pewno wkrótce odzyskasz spokój, jesteś przecie taki mądry, na pewno spotkasz inną, stokroć lepszą ode mnie. Życzę Ci z całej duszy szczęścia, które i ja w pełni odzyskam, gdy dowiem się, że Tobie dobrze.

Zabieram Mariolę, bo bez niej nie potrafiłabym przeżyć jednej godziny. Sam to wiesz najlepiej. Nie myśl, że chcę ograbić Cię z tego największego skarbu, który jest naszą wspólną własnością. Po kilku latach, gdy już oboje spokojnie będziemy mogli spojrzeć w przeszłość, odezwę się do Ciebie.

Żegnaj, Rafale. Nie posądzaj mnie o lekkomyślność i nie ludź się, że cokolwiek może wpłynąć na zmianę mojego postępowania. Nie odstąpię od niego, gdyż wolałabym raczej śmierć. Nie umiałam Cię okłamywać i wiedz, że byłam Ci wierna do końca. Żegnaj, miej litość i nie staraj się mnie odnaleźć.

Beata

Ps. Pieniądze i całą biżuterię zostawiam w kasie. Klucz od kasy włożyłam do skrytki w Twoim biurku. Zabieram z sobą tylko rzeczy Marioli”.

Profesor Wilczur opuścił rękę z listem i przetarł oczy: w lustrze naprzeciw zobaczył swoje odbicie w dziwnym stroju. Zrzucił z siebie to wszystko i zaczął czytać list od nowa.

Cios spadł nań tak nieoczekiwanie, że wciąż wydawał mu się czymś nierealnym, jakąś dopiero groźbą czy ostrzeżeniem.

Czytał:

... niestety, nie kochałam Cię nigdy...

A dalej:

... męczył mnie i wielki świat, i bogactwo, i Twoja sława...

– Jakże to tak? – jęknął. – Dlaczego?... Dlaczego?...

Na próżno usiłował zrozumieć wszystko. W jego świadomości było to: odeszła, porzuciła go, zabrała dziecko, kocha innego. Żaden z motywów nie docierał do jego mózgu. Widział tylko nagi fakt, dziki, nieprawdopodobny, groteskowy.

Na dworze zaczynał się wczesny, jesienny zmierzch. Zbliżył się do okna i czytał list Beaty, już nie wiedział sam po raz który.

Nagle rozległo się pukanie do drzwi i Wilczur drgnął. Przez jedno mgnienie ogarnęła go nieprzytomna nadzieja.

„To ona! Wróciła!...”

Lecz już w następnej chwili pojął, że to niepodobieństwo.

– Proszę – odezwał się ochryplym głosem.

Do pokoju wszedł Zygmunt Wilczur, jego daleki krewny, prezes sądu apelacyjnego. Utrzymywali dość serdeczne stosunki i bywali u siebie dość często. Zjawienie się Zygmunta w tej chwili nie mogło być przypadkowe i profesor od razu domyślił się, że musiała go zawiadomić telefonicznie Michałowa.

– Jak się miewasz, Rafale? – odezwał się Zygmunt tonem energicznym i przyjacielskim.

– Jak się masz – profesor wyciągnął doń rękę.

– Cóż tak siedzisz po ciemku? Pozwolisz? – i nie czekając na odpowiedź, przekreślił kontakt.

– Zimno tu, pieska jesień. Co widzę! Drzewo na kominku! Nie ma to jak kominek. Niechże ten Bronisław zapali...

Uchylił drzwi i zawołał:

– Bronisławie! Proszę tu zapalić w kominku.

Służący wchodząc zerknął z ukosa na swego pana, podniósł z podłogi porzucone futro, rozniecił ogień i wyszedł. Ogień szybko objął suche drwa. Profesor stał nieruchomo przy oknie.

– Chodźże, siądziemy tu, pogawędzimy – Zygmunt pociągnął go na fotel przed kominkiem. – No, tak. Ciepło to cudowna rzecz. Ty jako młody nie umiesz jeszcze tego ocenić. Ale na moje stare gnaty... Cóż to, nie w lecznicy? Próżnujesz dziś?

– Tak... Złożyło się tak.

– A właśnie telefonowałem – nadrabiał prezes swadą – telefonowałem do lecznicy. Chciałem wpaść, by zasięgnąć twojej rady. Zaczyna mi dokuczać lewa noga. Obawiam się, że to ischias...

Profesor słuchał w milczeniu, lecz tylko pojedyncze słowa trafiały do jego świadomości. Jednakże równy i pogodny głos Zygmunta sprawił to, że myśli się zaczynały skupiać, łączyć, wiązać w jakiś niemal już realny obraz rzeczywistości. Drgnął, gdy kuzyn zmienił ton i zapytał:

– A gdzież Beata?

Twarz profesora ściągnęła się i odpowiedział z wysiłkiem:

– Wyjechała... Tak... Wyjechała... Wyjechała... za granicę.

– Dzisiaj?

– Dzisiaj.

– To dość, zdaje się, niespodziewany projekt? – od niechcienia zauważył Zygmunt.

– Tak... tak. Wysłałem ją... Rozumiesz... były pewne sprawy i w związku z tym...

Mówił z taką trudnością, a cierpienie tak wyraźnie rysowało się na jego twarzy, że Zygmunt pośpiesznie potwierdził najcieplejszym tonem, na jaki umiał się zdobyć:

– Rozumiem. Naturalnie. Tylko widzisz, na dzisiaj rozestaliście zaproszenia na wieczór. Należałoby zatelefonować do wszystkich i odwołać... Czy pozwolisz, że się tym zajmę?...

– Proszę...

– No, to doskonale. Sądzę, że Michałowa ma listę zaproszonych. Wezmę to od niej. A ty zrobiłbyś najlepiej, gdybyś położył się spać. Co?... Nie będę ci zawracał dłużej głowy. No, do widzenia...

Wyciągnął rękę, lecz profesor nie zauważył tego. Zygmunt poklepał go po ramieniu, zatrzymał się jeszcze przy drzwiach na chwilę i wyszedł.

Wilczur ocknął się, gdy trzasnęła klamka. Zauważył, że ścisną w dłoni list Beaty. Zgniół go w małą kulkę i rzucił w ogień. Płomień od razu otoczył ją, zabłysła czerwonym pakiem i spopieliała. Już dawno i śladu po niej nie zostało, już dawno drwa w kominku zmieniły się w kupkę czerwonych węgli, gdy przetarł oczy i wstał. Powolnym ruchem odsunął fotel, obejrzał się.

– Nie mogę, nie mogę tu wytrzymać – szepnął bezgłośnie i wybiegł do przedpokoju.

Bronisław zerwał się z krzesła.

– Pan profesor wychodzi?... Jesionkę czy cieplejsze palto?

– Wszystko jedno.

– Tylko pięć stopni na dworze. Lepiej, sądzą, cieplejsze – zdecydował służący i podał palto.

– Rękawiczki! – zawołał, wybiegając za profesorem na ganek, lecz Wilczur musiał nie dosłyszeć. Już był na ulicy.

Koniec października w tym roku był chłodny i dżdżysty. Gałęzie drzew obdzierał silny północny wiatr z resztek przedwcześnie żółkłych liści. Na chodnikach chlupotała woda. Nieliczni przechodnie szli z nastawionymi kołnierzami pochylając głowy, by osłonić twarz przed drobnymi, ostrymi kroplami deszczu lub oburącz trzymali parasole, którymi targwały raz po raz gwałtowne porywy wiatru. Spod kół z rzadka przejeżdżających samochodów tryskały mętne bryzgi wody, dorożkarskie konie człapały leniwie, a podniesione budy ociekały deszczem, mdło połyskując w świetle żółtych latarni.

Doktor Rafał Wilczur machinalnie zapiął palto i szedł przed siebie.

„Jak mogła tak postąpić! Jak mogła!” – powtarzał w myśli pytanie. Czyż nie zdawała sobie sprawy z tego, że odbiera mu wszystko, że pozbawia go racji i celu istnienia? I dlaczego?... Dlatego, że spotkała jakiegoś człowieka... Gdyby go chociaż znał, gdyby miał pewność, że on ją potrafi ocenić, że jej nie skrzywdzi, że da jej to szczęście. Napisała tylko jego imię: Janek.

Wilczur zaczął w pamięci liczyć bliższych i dalszych znajomych. Żaden z nich. Może to jakiś nędznik, oszust, obieżyświat, który ją porzucił przy pierwszej sposobności. Jakiś zawodowy uwodziciel, który Beatę otumanił, okłamał, znęcił fałszywymi wyznaniem i przysięgami. Liczył zapewne na pieniądze. Co się stanie, gdy przekona się, że Beata nawet swojej biżuterii nie zabrała?... To na pewno wyrafinowany łotr. Tak, trzeba go ścigać, trzeba póki czas zapobiec łajdactwu. Trzeba zażądać od władz, od policji, by ich szukano. Rozesłać listy gończe, detektywów...

Pod wpływem tej myśli zatrzymał się i rozejrzał. Był w śródmieściu. Przypomniawszy sobie, że gdzieś w pobliżu, na drugiej czy na trzeciej przecznicy kiedyś, przejeżdżając, widział szyld komisariatu policji.

Ruszył w tamtym kierunku, lecz już po kilkunastu krokach zawrócił.

– I cóż z tego, że ją odnajdę? Nigdy nie zgodzi się wrócić do mnie.

Napisała wyraźnie, że nie kocha, że dręczyła ją jego rzekoma wyższość, jego bogactwo, jego sława... a na pewno i jego miłość. Była o tyle delikatna, że tego nie powiedziała wyraźnie... Jakimże prawem on ma ją osądzić, zdecydować o jej losie? A jeżeli ona woli nawet poniewierkę przy tamtym?... Jakichże argumentów można użyć, chcąc przekonać kobietę, by wróciła do niekochanego, do... nienawidzonego męża?... Zresztą czy nie zbyt pośpiesznie doszedł do przekonania, że tamten człowiek jest wyrzutkiem społeczeństwa i chciwym łotrem?... Beata nigdy nie lubiła mężczyzn tego rodzaju, pociągali ją zawsze idealisci, marzyciele... Nawet Marioli czytywała godzinami liryczne wiersze, których to siedmioletnie dziecko nie mogło zrozumieć. Czytała dla siebie.

Człowiek, za którym poszła, musi być młodym, niepraktycznym biedakiem. W jaki sposób, kiedy go poznała?... Czemu nigdy słowem nie wspomniawszy o nim?... I nagle uciekła, postąpiła z całą bezwzględnością, z całym okrucieństwem. Porzuciła człowieka, który dla niej wszystko... jak pies, jak niewolnik... – I za co? Za co?!...

Czy zgrzeszył cokolwiek przeciw niej, przeciw swojej miłości?... Nigdy! Nawet myślą! W ogóle była pierwszą kobietą, którą pokochał. Było to niespełna dziesięć lat temu. Jakże dobrze pamiętał wszystko. Poznał ją przypadkowo. I błogosławił ten przypadek jeszcze do dzisiejszego dnia, błogosławił rano i wieczór, o każdej godzinie, gdy patrzył na nią i gdy cieszył się myślą, że będzie na nią patrzył. Wtedy był jeszcze docentem i miał właśnie ćwiczenia w prosektorium, gdy na ulicy wóz ciężarowy przejechał jej dziadka. Udzielił pierwszej pomocy. Powikłane złamanie obu nóg. Staruszek zaklinał go, by zawiadomił w najbardziej ostrożny sposób jego żonę, chorą na serce, i wnuczkę. Drzwi małego mieszkania na Starym Mieście otworzyła mu Beata.

A w kilka miesięcy później byli już zaręczeni. Miała zaledwie siedemnaście lat. Była szczupłą i bladą, nosiła tanie pocerowane sukienki. W domu panowała bieda. Rodzice Beaty stracili podczas wojny cały swój majątek. Dziadek aż do dnia owego śmiertelnego wypadku utrzymywał żonę-staruszkę i wnuczkę z lekcji obcych języków udzielanych po domach. Babka, póki nie przeniosła się w ślad za mężem do rodzinnego grobu na Powązkach, do jedynej wspaniałej posiadłości, jaka im po dawnym bogactwie została, godzinami opowiadała wnuczce i jej narzeczonemu o minionej świetności rodu Gontyńskich, o pałacach, polowaniach, balach, o tabunach koni i o klejnotach, o strojach sprowadzanych z Paryża... Beata siedziała zasłuchana, a w jej rozmarzonych oczach, zdawało się, migotał żal za tą utraconą przeszłością, za tą bajką, która już nie wróci.

I w takich chwilach on ścisnął jej chudą rączkę i mówił:

– Wszystko to ci dam. Zobaczysz, Beato! I klejnoty, i stroje z Paryża, i bale, i służbę! Wszystko ci dam!

A sam wówczas nie miał nic oprócz paru walizek w kawalerskim pokoju, szafy fachowych książek i skromnego uposażenia docenta.

Ale miał też wolę ze stali i wiarę potężną, i pragnienie pałace jak ogień, by przyrzeczenia Beacie dotrzymać. Zaczął walkę. O stanowiska, o praktykę, o bogatych pacjentów. Duża wiedza, wrodzony talent, niezłomny charakter i praca, zawzięta, wściekła praca zrobiły swoje. A przy tym i szczęście sprzyjało. Rosła sława, rosły dochody. W trzydziestym siódmym roku życia otrzymał katedrę, a w kilka tygodni później jeszcze większe szczęście go spotkało: Beata urodziła córeczkę.

Właśnie na cześć owej świetnej prababki Gontyńskiej dano jej imiona: Maria Jolanta i tak samo w zdrobieniu nazywano ją Mariolą.

Wspomnienie córki nowym bólem ścisnęło serce profesora Wilczura. Nieraz zastanawiał się nad tym, którą z nich bardziej kocha... Gdy zaczęła mówić, jednym z pierwszych słów było:

– Tapusiu...

Tak już i zostało. Zawsze nazywała go tapusiem. Gdy w drugim roku zapadła na ciężką szkarlatynę, a w końcu wyzdrowiała, ślubował sobie, że odtąd wszystkie biedne dzieci będzie leczył darmo. W jego drogiej lecznicy, gdzie zawsze miejsc brakło, kilka pokoi zajmowały dzieci, bezpłatni pacjenci. Wszystko to przecież było dla niej, na intencję jej zdrowia.

A teraz mu ją odebrano.

To już było nieludzkie, to już przekraczało wszelką miarę egoizmu.

– Musisz mi ją oddać. Musisz! – mówił głośno, zaciskając pięści.

Przechodnie oglądali się za nim, lecz nie spostrzegali tego.

– Za mną jest prawo! Porzuciłaś mnie, ale zmuszę cię, byś mi Mariolę zwróciła. Prawo jest za mną. I moralne prawo też. Sama to musisz przyznać, ty, podła, podła, podła!... Nikczemna, czyż nie rozumiesz, że popełniłaś zbrodnię! Jakaż może być cięższa zbrodnia?... Jaka, powiedz sama!... Mierzyły cię pieniądze i wszystko. Dobrze, ale czego ci brakowało? Nie miłości przecie, bo nikt cię tak kochać nie potrafi jak ja! Nikt! Na całym świecie!

Potknął się i omal nie upadł. Szedł niezabrukowaną ulicą, grzęznąc w błocie po kostki. Tu i ówdzie rozrzucone były duże kamienie, po których mieszkańcy małych domków tej dzielnicy usiłowali dostać się do siebie suchą nogą. Okna były już ciemne. Rzadkie latarnie gazowe rozsiewały mdłe niebieskawe światło. W prawo szła większa, gęściej zabudowana ulica. Wilczur zawrócił w nią i włókł się coraz wolniej.

Nie odczuwał zmęczenia, lecz nogi stały się ciężkie, nieznośnie ciężkie. Musiał być przemoczony aż do koszuli, gdyż każdy podmuch wiatru czuł jak na gołej skórze.

Nagle ktoś mu zastąpił drogę.

– Panie ozdobny – odezwał się ochrypli głos – pożycz pan bez gwarancji bankowej pięć „zet” na hipotekę Polskiego Monopolu Spirytusowego. Pewność i zaufanie.

– Co? – profesor nie zrozumiał.

– Nie cokaj, bo obcokany będziesz, powiada Pismo Święte: jakim cokiem cokasz bliźniego twego, takim i ciebie obcokają, obywatelu stolicy trzydziestomilionowego państwa z dostępem do morza.

– Czego pan sobie życzy?

– Zdrowia, szczęścia i wszelkiej pomyślności. A nadto winszuję sobie napęścić mój pusty żołądek czterdziestopięcioprocentowym rozcynem alkoholu, przy łaskawym współdziałaniu pewnej dozy wieprzowej padliny, zwanej kiełbasą.

Obdartus chwiał się lekko na nogach, a z jego twarzy porośniętej niegoloną od wielu dni szczeciną zalatywał odór wódki.

Profesor sięgnął do kieszeni i podał mu kilka monet.

– Proszę.

– *Bis dat, qui cito dat*³ – sentencjonalnie orzekł pijak. – *Thank you, my darling*⁴. Pozwól jednak, hojny ofiarodawco, że w zamian i ja ofiaruję ci coś cennego. Myślę o swoim towarzystwie. Tak!

³ *bis dat, qui cito dat* (łac.) – dwa razy daje, kto szybko daje. [przypis edytorski]

Słuch cię nie myli, dobry człowieku. Możesz dostąpić tego zaszczytu. *Noblesse oblige*⁵! Ja stawiam! Zmokłeś, *sir*, i przemarłeś na zimnie, pójdź do mej chatki i rozgrzej się przy mnie. Wprawdzie nie mam chatki, ale za to posiadam wiedzę. Cóż znaczy jakikolwiek budynek w porównaniu z wiedzą? ... A ja się nią chętnie z panem, *mon prince*⁶, podzielę. Wiedza moja jest rozległa. Na razie mówię tylko o jej części topograficznej. Wiem mianowicie, gdzie się mieści jedyna knajpa, do której o tej porze człowiek dostać się może bez wyłamywania zamków i krat. Jedno słowo: Drożdzyk. Tu na rogu Połanieckiej i Witebskiej.

Wilczur pomyślał, że istotnie alkohol dobrze mu zrobi. Rzeczywiście był zziębnięty. A poza tym monotonna gadatliwość spotkanego pijaka działała ogluszająco. Mimo woli starał się z jego paplaniny coś zrozumieć, a to już tłumilo tę jaskrawą świadomość doznanego nieszczęścia, która rozpełtała pod czaszką całe wiry najboleśniejszych myśli.

Zaczynało już szarzeć na wschodzie, gdy po długim stukaniu w zamknięte okiennice dostali się wreszcie do małego sklepiku przesiąkniętego wyziewami beczek od śledzi, odorem piwa i nafty. W izbie za sklepikiem, większej, lecz jeszcze bardziej cuchnącej, pełnej dymu z taniego, kwaśnego tytoniu, siedziało w kącie kilku mężczyzn doszczętnie pijanych. Gospodarz, kwadratowy drab o twarzy zaspanego buldoga, w brudnej koszuli i w rozpiętej kamizelce, nie pytając o nic postawił na wolnym stoliku butelkę wódki i wyszczerbiony talerz z obrzynkami jakichś wędlin.

Ale było tu ciepło. Rozkosznie ciepło i zgrabiałe ręce zdawały się rozkosznie, aż boleśnie tając. Pierwsza szklaneczka wódki rozgrzała od razu gardło i żołądek. Przygodny towarzysz nie przestawał mówić. Pijacy z kąta nie zwracali na przybyłych najmniejszej uwagi. Jeden chrapał głośno, trzej pozostali wybuchali od czasu do czasu bełkotem niezrozumiałych słów. Zdawali się o coś spierać.

Druża szklanka wódki przyniosła Wilczurowi pewną ulgę.

„Jak to dobrze – pomyślał – że nikt tu na mnie nie patrzy, że nikt nic nie...”

– ...bo, uważasz, hrabio – ciągnął swój monolog szczeniasty towarzysz – Napoleona diabli wzięli, Olesia Macedońskiego ditto. A dlaczego, pytasz gromkim głosem? Oto dlatego, że nie sztuka być kimś. Sztuka być niczym. Niczym, drobnym insektem za kołnierzem Opatrzności – *disce puer*⁷! Ja ci to mówię, ja, Samuel Obiedziński, który nigdy z koturnów nie zleci na zbity pysk, bo nigdy na nic nie wejdzie. Cokół jest podkładką dla durniów, przyjacielu. A wiara to balon, z którego wcześniej czy później gaz wyleci. Szansa?... Jest, owszem: że prędzej sam zdechniesz. Strzeżcie się balonów, obywatela!

Podniósł w górę pustą butelkę i zawołał:

– Panie Drożdzyk, jeszcze jedną! Szafarzu wszelkich radości, opiekunie zbłąkanych, dawco świadomości i zapomnienia.

Ponury szynkarz bez pośpiechu przyniósł wódkę, szeroką dłoń trzasnął w dno i postawił odkorkowaną przed nimi.

Profesor Wilczur w milczeniu wypił i wzdrygnął się. Nigdy nie pił i wstrętny smak ordynarnej gorzałki wywoływał w nim obrzydzenie. Ale czuł już lekki szum w głowie i chciał oszołomić się zupełnie.

– Cały sens posiadania szarej masy mózgowej – mówił człowiek, który nazwał siebie Samuelem Obiedzińskim – polega na żonglowaniu między świadomością a mrokiem. Bo czymże pokryć dramat intelektu, który dochodzi do absurdałnego stwierdzenia, że jest wybrykiem natury, zbędnym balastem, pęcherzem przyczepionym do ogona naszej zwierzęcej ekscelencji? Co wiesz o świecie, o rzeczach, o celu istnienia? Tak, pytam cię, istota obarczona dwoma kilogramami substancji mózgowej, co wiesz o celu?... Czyż nie paradoks? Nie potrafisz poruszać ręką, nie potrafisz zrobić

⁴ *thank you, my darling* (ang.) – dziękuję, kochanie. [przypis edytorski]

⁵ *noblesse oblige* (fr.) – szlachectwo zobowiązuje. [przypis edytorski]

⁶ *mon prince* (fr.) – mój książę. [przypis edytorski]

⁷ *disce puer* (łac.) – ucz się, chłopcze. [przypis edytorski]

kroku bez jasnego i zrozumiałego celu. Prawda?... A tymczasem rodzisz się i w ciągu kilkudziesięciu lat wykonujesz miliony, miliardy różnych czynności, borykasz się, pracujesz, uczysz się, walczysz, padasz, wstajesz, cieszysz się, rozpaczasz, myślisz, zużywasz tyle energii co elektrownia warszawska i po jaką to wszystko cholere? Tak, przyjacielu, nie wiesz i wiedzieć nie możesz, w jakim celu to robisz. Jediną instancją, do której możesz zwrócić się o udzielenie miarodajnych informacji w tym względzie, jest twój umysł, a ten, że tak powiem, rozkłada bezradnie ręce. Więc gdzież sens, gdzież logika?

Zaśmiał się głośno i duszkiem wychylił szklanke.

– Więc po cóż istnieje umysł, skoro nie umie spełnić swego jedyne, właściwie jedyne zadania?... Wiem, co mi odpowie, ale to też bzdura. Powie, że jego zakres działania obejmuje tylko funkcje życia. Przyczyny i cele życia nie należą do jego departamentu. Zgoda. Ale zobaczysz, jak on sobie daje radę z życiem. Co nam tu może wyjaśnić? I okazuje się, że nic. Nic poza najelementarniejszymi funkcjami zwierzęcymi. Więc po co wyrósł nam pod czaszką ten nowotwór? Po kiego, zapytuję cię, czcigodny prezesie, licha? Bo cóż on wie? Czy wie, co to jest myśl?! Czy dał człowiekowi możliwość bodaj poznania samego siebie? Poznania chociażby o tyle, by móc o sobie z całą pewnością powiedzieć: jestem łotrem, albo też: jestem uczciwy. Jestem idealistą, lub: jestem materialistą. Nie, po stokroć nie! Powie tylko, czy wolę cielęcinę, czy wieprzowinę. Ale na to wystarczy mózg zwykłego Azorka. A jeżeli chodzi o ludzi, o bliźnich? Nauczy nas czego?... Nie! Gwarantuję całym swoim majątkiem, że pod pańskim wysokim czołem nie zrodził się ani jeden pewnik co do mojej interesującej osoby. Chociaż obcujemy z sobą już od... od dwu butelek. Zresztą powiedzmy, czy ma pan jakiś pewnik nie o mnie, lecz o tych, których zna pan od lat?... Czy ja wiem, o braciach, o ojcu, o żonie, o przyjacielu?... Nie! Ludzie chodzą w impregnowanych skafandrach. I nie ma sposobu przeniknięcia do ich treści. Nasze kawalerskie! Pij pan!

Stuknął w szklanke Wilczura i wypił swoją.

– Jeżeli zechcesz, maestro, dowiedzieć się, jak naprawdę wygląda szykowna dama, możesz ją podpatrzeć w łazience przez dziurkę od klucza. Sprawdzisz, powiedzmy, że ma zdezelowany biust i cienkie uda. Dowiesz się o niej czegoś nowego. Ale o jej istocie nie będziesz w dalszym ciągu nic wiedział. Bo nawet gdy jest sama i zdejmuje skafander, w który się zawsze ubierała dla ciebie, ma pod spodem drugi, którego nie zdejmuje nigdy i który dla niej samej jest czymś nieprzeniknionym. Prawda? Oczywiście, są chwile, kiedy można komuś zajrzeć przez rękaw czy za kołnierz. Są to chwile katastrofy. Skafander się rozdziera, pęka, zjawiają się szczeliny i szparki. Ot... ot na przykład w takiej sytuacji, w jakiej ty jesteś teraz, wodzu! Przetoczyło się po tobie coś ciężkiego.

Pochylił się nad stolikiem i wlepił w Wilczura swoje niebieskie, przekrwione gałki oczne.

– Prawda? – zapytał z naciskiem.

– Tak. – profesor skinął głową.

– Oczywiście! – gniewnie krzyknął Obiedziński. – Oczywiście! Człowiek tak pragnący spokoju jak ja nie może kroku zrobić, by nie otrzeć się o głupotę ludzką! Bo dno każdej tragedii to głupota! ... Więc co? Balon czy koturny?... Zbankrutowałeś, wylali cię z jakiegoś ministerialnego stolca czy rozczarowanie? Co?... Kobieta?... Zdradziła cię?...

Wilczur opuścił głowę i odpowiedział głucho:

– Porzuciła...

Oczy Obiedzińskiego błysnęły wściekłością.

– No więc i co! – wrzasnął. – Więc cóż to jest?!

– Co to jest? – Wilczur chwycił go za rękę. – Co to jest?... To jest wszystko. Wszystko!

W jego głosie musiało być coś, co starczyło za najmocniejszy argument, gdyż Obiedziński uspokoił się od razu, skulił się i zamilkł. Dopiero po kilku minutach zaczął mówić cicho jakimś narzekającym tonem:

– Podłe jest życie, a ja mam pecha. Brzydzę się wszelkimi sentymentami, to właśnie los musi wiecznie rozrzucać na mojej drodze różne ofiary sentymentów. Diabli nadali... Nie ulega

wątpliwości, że to rzecz względna. Jednego maczuga z nóg nie zwali, drugi pośliźnie się na pestce od wiśni i łeb sobie roztrzaska. Nie ma żadnej miary, żadnego kryterium. Pij, bracie. Wódka to dobra rzecz. *Sapristi*⁸!

Nalał szklanki.

– Pij – powtórzył, wciskając szklankę w palce Wilczura. – Hej, Drożdzyk, daj następną!

Gospodarz zwlókł się ze swego legowiska w alkowie i przyniósł butelkę, po czym zgasił światło. Nie było już potrzebne. Przez okno z brudnego podwórza zaglądał pochmurny i dżdżysty, ale już zupełny dzień. Towarzystwo z kąta, porzuciwszy chrapiącego kompana, wysypało się na ulicę.

Obiedziński oparł się na łokciach i w pijackim zamyśleniu mówił:

– Tak jest z kobietami... Jedna przysie się do ciebie i wszystkie soki wyciągnie, inna obedrze cię z tego, co masz, trzecia oszuka na każdym kroku, albo i taka będzie, co cię wciągnie w szarżyznę, w powszednie błoto... Pranie, sprzątanie, pieluchy i takie rzeczy. Ot i życie... Ale to nieprawda, to wszystko od mężczyzny zależy. Jaki jest! Po jednym spłynie gładko, drugi jak postrzelony kot zakręci się, zapiszczy i zdycha, a taki jak ty, *amigo*?... Twardy musisz być. Jak wielkie drzewo. Gdyby cię z kory obłuskano, porośłyby nową, gdyby ci gałęzie obcięto, wyrosłyby nowe... Ale ot, wyrwało cię z korzeniami z gruntu... Rzuciło cię na pustynię...

Wilczur pochylił się ku niemu i wybelkotał:

– Z korzeniami... to prawda...

– A widzisz. I siła nie pomoże, gdy oparcia nie ma. Grunt rozmiękł, rozplynał się, przestał istnieć. Już Archimedes powiedział... Co to on powiedział... Zresztą pies z nim tańcował... Aha! ... O czym mówiłem? Że korzenie! Najsilniejsze korzenie nic nie pomogą, jeżeli nie mają czego trzymać się. O!... Pieskie niebieskie... takie życie...

Język mu się plątał coraz bardziej. Wreszcie kiwnął się, wsparł się o ścianę i zasnął.

Wilczur resztkami przytomności powtarzał w myśli:

„Jak drzewo wyrwane z korzeniami... Jak drzewo wyrwane z korzeniami...”

Nie spał zapewne długo, gdyż obudzony bezceremonialnymi szturchańcami, z trudnością otworzył oczy i zatoczył się. Alkohol nie zdążył wyparować. Na stole znowu stała wódka, a prócz nocnego towarzysza było jeszcze trzech nieznanymych. Profesor Wilczur z trudem uświadomił sobie, gdzie się znajduje, i nagłym ostrym bólem odezwało się w nim wspomnienie Beaty. Zerwał się i przewracając po drodze krzesła, skierował się do drzwi.

– Hej, panie szanowny! – krzyknął za nim gospodarz.

– Co?

– A płacić to nie łaska?... Rachunek czterdzieści sześć złotych.

Wilczur machinalnie wydobyl z kieszeni portfel i podał mu banknot.

– Ale forsy! Fiu, fiu – zagwizdał cicho jeden z kompanów.

– Stul mordę – warknął drugi.

– Drożdzyk! – zawołał trzeci. – Co strugasz frajera! Oddaj gościowi resztę! Widzisz go!

Gospodarz spojrzał nań nienawistnie, odliczył pieniądze i podał Wilczurowi.

– A ty, łobuzie – mruknął – pilnuj swego.

Wilczur nie zwrócił na to najmniejszej uwagi i wyszedł na ulicę. Padał gęsty, mokry śnieg, lecz jezdnia i chodniki pozostały czarne, gdyż natychmiast tajał. Środkiem jezdni ciągnęły wozy naładowane węglem.

– Porzuciła mnie... porzuciła... – powtarzał Wilczur. Szedł przed siebie, zataczając się. – Jak drzewo wyrwane z korzeniami...

– Szanowny pan na Grochów? – usłyszał obok siebie czyjś głos. – To może lepiej obejść Rawską. Błoto mniejsze.

Poznał jednego z kompanów.

⁸ *sapristi* – fr. przekleństwo; etymologicznie od łac.: *Sacrum Corpus Christi*. [przypis edytorski]

– Wszystko mi jedno. – machnął ręką.

– To i dobrze. Po drodze mi. Pójdziem razem. Zawsze weselej. A pana podobnie zmartwienie spotkało?

Wilczur nie odpowiedział.

– Wiadomo, rzecz ludzka. A ja panu powiem, że na zmartwienie to jeden jest tylko sposób: zalać cholere na glanc. Wiadomo, nie w takiej norze jak u tego Drożdżyka, którego kanciarz jest i wędlinę ze strychninami gościom daje. Ale tu niedaleko na Rawskiej ulicy jest porządna knajpa jak się patrzy. I zabawić się można, kielnerki gościom obsługują. A cena ta sama.

Szli znowu w milczeniu. Towarzysz, znacznie niższy i szczuplejszy od Wilczura, wziął go pod rękę i raz po raz zadzierał głowę, by spojrzeć nań spod daszka swojej cyklistówki. Minęli kilka przecznic, gdy pociągnął go w bok.

– No, to wstąpiem, czy jak?... Najlepiej zalać. To już tutaj. Na jednego.

– Dobrze – zgodził się Wilczur i weszli do knajpki.

Pierwszy łyk wódki nie przyniósł ulgi. Przeciwnie, jakby otrzeźwił zamglony umysł, następne jednak kolejki zrobiły swoje.

W sąsiedniej izbie chrapliwie grał orkiestron. Zapalono światła. Po jakimś czasie przyłączyli się do nich jeszcze dwaj mężczyźni, z wyglądu robotnicy. Tłusta, mocno wymalowana kelnerka przysiadła się również. Pili już trzecią butelkę, gdy nagle z bocznego pokoiku rozległ się głośny śmiech kobiecy.

Profesor Wilczur zerwał się na równe nogi. Krew uderzyła mu do głowy, przez sekundę stał nieruchomy. Byłby przysiągł, że poznał głos Beaty. Gwałtownym ruchem odepchnął zagradzającego mu drogę kompana i jednym skokiem znalazł się we drzwiach.

Dwie gazowe lampy jasno oświetlały nieduży pokój. Przy stoliku siedział brzuchaty, krępy człowiek i jakaś piegowata dziewczyna w zielonym kapeluszu.

Z wolna zawrócił, ciężko opadł na krzesło i wybuchnął łkaniem.

– Nalej mu jeszcze – mruknął człowiek w cyklistówce – ma łeb do wódy.

Potrząsnął Wilczura za ramię.

– Pij, bracie! Co tam!

Gdy o jedenastej knajpę zamykano, towarzysze musieli podtrzymać Wilczura, gdyż nie mógł już iść o własnych siłach. I tak, zataczając się swoim wielkim ciałem, chwiał nimi na wszystkie strony. Sapali z wysiłku. Na szczęście nie mieli dalekiej drogi. Za rogiem, w ciemnej pustej uliczce czekała dorożka z nastawioną budą. Bez słowa władowali Wilczura do środka i wcisnęli się z nim. Dorożkarz zaciął konia.

Po kilkunastu minutach domy przeredziły się. Po obu stronach tu i ówdzie między parkanami błyskało światelko naftowej lampy. Wreszcie i te znikły. Natomiast w nozdrza uderzył cuchnący odór wielkich zwalisk śmieci. Dorożka skręciła w bok, ustało od razu klaskanie kopyt końskich. Na miękkiej, gruntowej drodze nie było ich słychać. Dojechali do pierwszej glinianki.

– Stój, najlepiej tu – odezwał się cichy głos.

Nasłuchiwali przez chwilę. Z daleka jednostajnym głosem huczało miasto. Tu dokoła panowała zupełna cisza.

– Wylewaj go – rozległa się krótka komenda.

Trzy pary rąk wczepiły się w bezwładne ciało. Po chwili zawartość kieszeni została wyjęta. Bez trudu zdjęli też palto, marynarkę i kamizelkę. Nagle, widocznie pod wpływem zimna, Wilczur oprzytomniał i zawołał:

– Co to, co robicie?...

Jednocześnie usiłował poderwać się z ziemi. W chwili jednak, gdy już stał na nogach, otrzymał straszny cios w tył głowy. Bez jęku zwałił się niczym kłoda. Ponieważ zaś padając zatoczył się aż na brzeg wielkiego dołu, do którego zsypywano śmieci, ciało po pochyłości zsunęło się na dno.

– Cholera! – zaklął jeden – nie mogłeś przytrzymać?

- A po co?
- Durny szczeniak! Po co? Złaż teraz do glinianki po buty i portki.
- Sam złaż, kiedyś taki chytry.
- Co ty powiesz?! – pierwszy zbliżył się doń groźnie.

Zanościło się na rozprawę, gdy ozwał się flegmatyczny głos dorożkarza, który dotychczas w milczeniu palił papierosa.

- A ja mówię: jadziem. Chcecie, żeby nas tu nakryli?...

Mężczyźni opamiętali się i wskoczyli do dorożki. Koń ruszył z miejsca. Przed wjazdem na główną szosę zatrzymali się, dorożkarz wyciągnął spod kozła stary worek i dokładnie obtarł wszystkie koła ze śmieci, które się do nich poprzyklepiały, po czym wskoczył, cmoknął na szkapę i wkrótce na polach zapanowała dawna cisza.

W ciągu dnia nikt tu nie zaglądał, a nocą tym bardziej. Nad ranem tylko zaczynał się przy gliniankach ruch. To chłopci z wiosek, położonych w promieniu kilkunastu kilometrów od stolicy, trudniący się wywożeniem śmieci z miasta, przyjeżdżali ze swoim cuchnącym ładunkiem. Przyjeżdżali, wysypywali z fur śmieci i z paruzłotowym zarobkiem wracali do domu. Sumienniejsi zwalali nieczystości wprost do glinianek, tak jak było przykazane, inni, korzystając z braku kontroli, wysypywali je wprost na pole.

Stary Paweł Bańkowski, gospodarz z Brzozowej Wólki, lubił jednak uczciwą robotę. Dlatego właśnie podjechał nad gliniankę i systematycznie wypróżniał swoją furę. Nie śpieszył, bo i kobyle trzeba było dać wypocząć przed drogą, a i sam cierpiał już na zadyszkę, co w jego wieku było rzeczą zrozumiałą.

Właśnie skończył i mościł sobie na pokrywie worek z resztkami siana, gdy z dołu posłyszał wyraźne stękanie. Przeżegnał się na wszelki wypadek i nastawił uszu. Stękanie odezwało się głośniejsz.

- Ej tam! – zawołał. – Co za lichy?
- Wody – zajęczał słaby głos.

Głos ten wydał się Pawłowi Bańkowskiemu znajomy. Właśnie wieczorem jechał do miasta i widział Mateusza Piotrowskiego z Byczyńca, który tak samo jechał i też na zwózkę śmieci. Coś tknęło Bańkowskiego, że to właśnie Piotrowski. I głos ten sam, i zawsze do tej glinianki zsypywał. A i wypić lubił. Po pijanemu wpadł do dołu, może sobie co przetrącił i leży.

Rozejrzał się. Ciemno jeszcze było, na wschodzie ledwie szarzało. Jeżeli Piotrowski swoją furmankę tu zostawił, koń na pewno sam powłókł się do Byczyńca.

- A to wy, panie Piotrowski? – zapytał. – Wpadliście czy jak?...
- Jedyną odpowiedzią był cichy jęk.

„A może go te miejskie urządziły?” – zastanowił się gospodarz. Po ludziach z miasta wszystkich najgorszych rzeczy zawsze się spodziewał.

Pomacał nogą pochyłość, po namyśle wrócił do konia, odwiązał postronki zastępujące lejce, szcepił je, mocnym supłem przywiązał do osi i trzymając się sznura zszedł na dół.

- Panie Mateuszu, a odezwijcie się, bo ciemno – zawołał. – Gdzie wy?
 - Wody!... – posłyszał głos tuż przy sobie.
- Pochylił się i namacał ramię.

– Nie mam wody, skąd woda? Musicie wyleźć na wierzch. A gdzie wasz koń?... Pewnikiem sam do domu poszedł?... No, nie dźwignę was, spróbujcie wstać.

- Ubił nogami śmiecie, zaparł się i szarpnął bezwładnym ciężarem.
- Ruszcie się. Dalej go! Sam nie dam rady.
- Nie mogę.
- Ooo! Nie mogę! Natęźcie się. Dyć nie będziecie tu zdychać.

- Ręce Bańkowskiego natrafiły na gęstą ciecz oblepiającą włosy. Powąchał swoje palce i zapytał:
- Zabili was, co?
- Nie wiem...

Chłop zastanowił się.

– Tak czy siak, nie będziecie tu zdychać. Tfu!... Uważacie, mam postronek, żebyście jeno wstali, to jakoś się podciągniecie.

Leżącemu widocznie wracały siły, gdyż poruszył się raz, drugi, lecz znowu opadł, choć Bańkowski podtrzymywał go jak mógł.

– Nie ma co – orzekł – trzeba iść po pomoc. Pewno już ludzie nadjechali.

Wygramolił się i po kilku minutach wrócił z dwoma innymi, tłumacząc im, że jakieś warszawskie łobuzy zabiły tu Piotrowskiego z Byczyńca. Chłopi bez gadania zabrali się do roboty i wkrótce wyciągnęli rannego i ułożyli go na wozie starego. Zresztą uratowany poczuł się lepiej, bo usiadł sam i zaczął skarżyć się na zimno.

– Ledwo go w portkach zostawili psiekrwie – zaklął jeden z gospodarzy.

– Trza by do komisariatu – zauważył drugi.

Bańkowski wzruszył ramionami.

– Nie moja sprawa. Podwiozę go do Byczyńca, i tak po drodze, a tam niech jego synowie robią, co chcą. Czy na posterunek, czy jak.

– Ano – przytaknęli – pewno. Ich rzecz.

Stary podsunął leżącemu worek z sianem pod głowę, sam usiadł na gołych deskach i targnął lejcami. Gdy wjechali na szosę, usadowił się wygodniej zdrzemnął się. Kobyła sama dobrze знаła drogę.

Obudził się, gdy już jasno było na niebie. Obejrzał się i przetarł oczy. Za nim na wozie przykryty derką leżał jakiś nieznajomy człowiek. Duża, obrzękła twarz, czarne włosy zlepione na ciemieniu zakrzepłą krwią. Bańkowski przysięgłby, że nigdy w życiu go nie widział. A już do Piotrowskiego z Byczyńca wcale nie był podobny. Wzrostem chyba i tuszą, bo też był kawał chłopca. Spod krótkiej, dziurawej derki wyzierała cienka, podarta koszula, umazane w błocie spodnie i miejskie trzewiki.

– Ki diabeł! – zaklął i zamyślił się, co tu z tym zdarzeniem zrobić.

Kalkulował, kalkulował, a wreszcie przechylił się w tył i potrząsnął pasażera za ramię.

– Hej, panie, obudź się! Licho nadało! Obudź się! Człowiek sam na siebie przez niego biedy napyta... Obudź się!

Pasażer z wolna otworzył oczy i podniósł się na łokciu.

– Coś pan za jeden?... – gniewnie zapytał chłop.

– Gdzie jestem, co to? – odpowiedział pytaniem pasażer.

– A dyć na moim wozie. To nie widzisz?

– Widzę – mruknął człowiek i z trudem usiadł, podciągając nogi.

– No?

– A skąd ja się tu wziąłem?

Bańkowski odwrócił się i splunął przed siebie. Należało się namyślić.

– A ja wiem? – wzruszył wreszcie ramionami. – Ja spałem, a ty pewno na wóz wlałeś. Z Warszawy, co?

– Co takiego?

– To i pytam, pan warszawiak?... Bo jeżeli tak, to nie masz czego ze mną jechać do Wólki ani do Byczyńca. Ja do domu jadę. A pan przecież nie do Wólki. O, już mnie za tamtym wiatrakiem skrećać trzeba... Wsiądźcie czy jak?... I tak do rogatki będzie stąd z dziesięć kilometrów...

– Dokąd? – zapytał człowiek, a w jego oczach było zdumienie.

– Dyć mówię, do warszawskiej rogatki. Wy z Warszawy?

Człowiek wytrzeszczył oczy, przetarł czoło i powiedział:

– Nie wiem.

Bańkowskiego aż poderwało. Teraz już poznał, że ma do czynienia z łobuzem. Pomacał się ostrożnie po piersiach, gdzie miał ukryty woreczek z pieniędzmi, i rozejrzał się. W odległości może pół kilometra ciągnęły się furmanki.

– Cóż to udajesz głupiego – warknął – nie wiesz, skąd jesteś?

– Nie wiem – powtórzył człowiek.

– To ci się chyba rozum pomieszał. A tego, kto ci łeb rozbił, pewno też nie wiesz?

Tamten obmacał sobie, głowę i mruknął:

– Nie wiem.

– No to złaż z wozu! – krzyknął zirytowany do ostateczności chłop. – Dalej go! Złaż!

Ściągnął lejce i kobyła stanęła. Nieznajomy posłusznie zgramolił się na szosę. Złazł i stał rozglądając się, jakby nieprzytomny, na wszystkie strony. Bańkowski widząc, że obcy nie ma widocznie żadnych złych zamiarów, postanowił mu jednak przemówić do sumienia.

– To ja z tobą po ludzku, po chrześcijańsku, a ty jak do psa. Tfu, miejskie ścierwo! Pytam, czy z Warszawy, to nawet powiada, że nie wie. To może też nie wiesz, że cię matka urodziła?... Może nie wiesz, coś za jeden i jak się nazywasz?...

Nieznajomy patrzył nań szeroko otwartymi oczami.

– Jak?... nazywam się?... Jak?... Nnnie... nie wiem...

I w jego twarzy skurczyły się mięśnie jakby ze strachu.

– Tfu! – splunął Bańkowski i nagle zdecydowany świsnął batem po grzbiecie konia. Wóz potoczył się naprzód.

Odjechawszy ze dwa stajania gospodarz obejrzał się: nieznajomy szedł brzegiem szosy za nim.

– Tfu! – powtórzył i podciął szkapę, aż przeszła w kłusa.

Rozdział II

Zniknięcie profesora Rafała Wilczura poruszyło całe miasto. Przede wszystkim w całej sprawie wyczuwało się jakąś tajemnicę. Ci wszyscy, którzy od lat stykali się z profesorem i znali go dobrze, zapewniali, że wszelkie przypuszczenia na temat samobójstwa byłyby absurdem. Wilczur odznaczał się przecie wręcz żywiołową witalnością, kochał swoją pracę, kochał rodzinę, kochał życie. Jego stan majątkowy był wyborny. Jego sława wciąż rosła. W świecie lekarskim był uważany za znakomitość.

Zabójstwo zdawało się być również wykluczone z tego prostego powodu, że profesor nie miał wrogów. Jedyнным dopuszczalnym motywem zbrodni mogłaby być chęć rabunku. Ale i tu nasuwały się istotne wątpliwości. Łatwo stwierdzono, że krytycznego dnia profesor miał przy sobie niewiele ponad tysiąc złotych, ogólnie zaś wiadano, że używał zwykłego czarnego zegarka i nawet obrączki nie nosił. Zatem uplanowany napad rabunkowy i morderstwo jako wynik takiego napadu nie wyglądały prawdopodobnie. W wypadku katastrofy czy przypadkowego zabójstwa szybko odnaleziono by zwłoki.

Pozostawała jeszcze jedna ewentualność: utrata pamięci. Ponieważ w ubiegłym roku udało się policji odnaleźć pięć osób zaginionych wskutek nagłej utraty pamięci, w większości dzienników w licznych notatkach wysuwano takie właśnie przypuszczenia.

Jeżeli jednak w tych wzmiankach półgębkiem, a w prywatnych rozmowach jawnie mówiono o tajemniczych okolicznościach zaginięcia profesora Wilczura, to z całkiem innych powodów.

Oto do willi profesora przy Alei Bzów na próżno szturmowali reporterzy. Bez trudu wprawdzie zdolali dowiedzieć się, że żona profesora wraz z siedmioletnią córeczką nie jest obecna w Warszawie, służba jednak nabrała wody do ust i odmawiała wszelkich dalszych informacji. Bardziej natarczywych dziennikarzy odsyłała do kuzyna zaginionego, do prezesa sądu apelacyjnego, Zygmunta Wilczura. Ten zaś z niezmaconym spokojem powtarzał:

– Pożycie mego kuzyna z żoną było zawsze nader szczęśliwe. W oczach licznych przyjaciół nieodmiennie uchodzili za wzorowe małżeństwo. Wiązanie zatem zaginięcia profesora, czym jestem głęboko wstrząśnięty, z jego sprawami rodzinnymi jest i pozostanie – mówił z naciskiem – nedorzecznością.

– A czy pan prezes może nam powiedzieć, gdzie obecnie znajduje się pani Beata Wilczurowa? – pytali dziennikarze.

– Owszem. Gotów jestem powtórzyć panom to, co słyszałem z ust mego kuzyna, właśnie w dniu, kiedy po raz ostatni wyszedł z domu. Oświadczył mi, że wysłał żonę z dzieckiem za granicę.

– A cel jej wyjazdu?

Prezes z uśmiechem zrobił ręką nieokreślony gest.

– Przyznam się panom, że nie spytałem o to. Prawdopodobnie chodziło o wyjazd kuracyjny. O ile sobie przypominam, żona kuzyna nie najlepiej znosiła nasze słoty jesienne. Zresztą dość często bawiła za granicą.

– Jednakże taki nagły wyjazd w dniu czy też na kilka dni przed balem, na który były już rozesłane zaproszenia...

– Moi panowie. Różnie się ludziom układają sprawy. Poza tym nie byliśmy z sobą aż w tak bliskich stosunkach, bym mógł wiedzieć o wszystkich ich poruszeniach. Jeżeli jednak wolno mi panów o to prosić, byłbym ze względów rodzinnych bardzo obowiązany za nierozdymanie sprawy do rozmiarów niezdrowej sensacji. A zwłaszcza spodziewam się, że nie znajdę w prasie żadnych aluzji dotyczących rodzinnego pożycia mego kuzyna. Bardzo na to liczę. W zamian podzielę się z panami moim osobistym poglądem na cały wypadek. Nie jest wykluczone, że profesor miał zamiar wyjechać z żoną. Zatrzymała go w Warszawie nader ważna operacja, o której tyle wszystkie dzienniki pisały. Z chwilą gdy operacja się udała, mój kuzyn mógł wyjechać za żoną.

– Minęło już tyle dni – zauważył jeden z reporterów – niepodobna, by do profesora nie dotarł alarm całej prasy. Dałby o sobie znać.

– Zapewne. O ile alarm doń dotarł. Jest jednak wiele takich zakątków za granicą, cichych pensjonatów w górach, ustronnych miejsc wypoczynkowych, dokąd pisma warszawskie nie docierają.

– Depesze o zaginięciu profesora podała cała prasa zagraniczna – upierał się dziennikarz – no, i radio.

– Radia można nie słuchać. Ja sam na przykład nie znoszę radia. A ileż to osób podczas wypoczynku do rąk nie bierze dzienników. Nie każdy ma na nie ochotę w jakimś Tyrolu czy Dalmacji.

– Tak, panie prezesie. Ale jest jeszcze jedna okoliczność. Oto profesora nie ma ani w Tyrolu, ani w Dalmacji, ani w ogóle za granicą.

– I w jakiz sposób zdołał pan to stwierdzić? – z uśmiechem zapytał prezes.

– To nie było trudne. Po prostu stwierdziłem w starostwie, że paszport zagraniczny profesora Wilczura był wystawiony z rocznym terminem ważności. A termin ten upłynął dokładnie przed dwoma miesiącami i nie był prolongowany.

Zapanowało milczenie. Wreszcie prezes rozłożył ręce.

– Ha. Niewątpliwie sprawa nie jest jasna. Proszę mi jednak wierzyć, że dołożę wszelkich starań, by ją wyświecić. Pracuje nad tym i policja. W każdym razie przypominam panom jeszcze raz swoją prośbę.

Zawdzięczając właśnie tej prośbie, wyrażonej przez człowieka zajmującego ogólnie szanowane stanowisko w życiu publicznym, jak też i z racji powszechnej sympatii, jaką cieszył się zaginiony profesor, prasa wyrzekła się ponętnej okazji do wentylowania spraw z jego życia osobistego. Nie przeszkodziło to oczywiście powodzi plotek kursujących wśród znajomych i niezajomych, te jednak, niepodsycane świeżymi wiadomościami, stopniowo zaczęły przycichać.

Natomiast policja nie zaniechała sprawy. Komisarz Górny, któremu ją powierzono, w ciągu kilku dni zdołał ustalić szereg szczegółów. Zbadanie personelu lecznicy wyjaśniło, że w krytycznym dniu profesor Wilczur jadąc do domu był w znakomitym humorze i że wioził sobolowe futro, które właśnie nabył, a które miało być prezentem dla żony z racji ósmej rocznicy ślubu. Nic nie wskazywało na to, by spodziewał się nagłego wyjazdu małżonki. Z zeznań służby wynikało, że dowiedział się o nim dopiero z listu pozostawionego przez nią. List ten wywarł na nim piorunujące wrażenie. Robił wrażenie nieprzytomnego, nic nie jadł. Siedział w ciemnym gabinecie. Listu wprawdzie nie znaleziono. Nietrudno jednak było domyślić się, że zawierał decyzję zerwania. Takie przypuszczenie wyraził również i prezes Wilczur, który nie skąpił śledztwu najdrobniejszych szczegółów i podał wyczerpującą relację ze swej wizyty u kuzyna.

Z dalszych zeznań służby nie wynikało nic pewnego. Pani Beata codziennie w rannych godzinach udawała się samochodem na dłuższy spacer do Parku Łazienkowskiego. Szofer zostawał z wozem przed bramą i nigdy nie widział nikogo, kto by pani towarzyszył. Za to stróż w parku w okazanej fotografii poznali od razu panią, która codziennie spotykała się tu z młodym, szczupłym blondynkiem w dość zniszczonym ubraniu. Rysopis owego blondyna nie odznaczał się wszakże żadnym szczegółem charakterystycznym.

Badanie przeprowadzone w listach i papierach profesorowej nie dało również żadnego śladu. Stwierdzono, że zostawiła większą kwotę pieniędzy i biżuterię. Nie zabrała również futer ani żadnych cennych, a dających się łatwo spieniężyć rzeczy.

W biurku profesora znalazł komisarz Górny nabity rewolwer.

– To mi pozwala wnioskować – mówił prezesowi Wilczurowi – że profesor stanowczo nie miał zamiarów samobójczych. W przeciwnym razie zabrałby broń. Zabrałby ją również w wypadku, gdyby zamierzał rozprawić się z uwodzicielem żony.

– Czy pan komisarz sądzi, że mógł wiedzieć, gdzie go należy szukać?

– Nie. Przypuszczam, że nawet nie domyślał się jego istnienia. Młodzieńca o takim wyglądzie nie widział nikt ze służby w Alei Bzów. Jednak jestem przekonany, że odnalezienie tej pary da nam odpowiedź na pytanie, co się stało z profesorem.

Zgodnie z tą koncepcją komisarz skierował śledztwo ku odszukaniu pani Beaty. Po długich zabiegach sprowadzono doń szofera taksówki, którą krytycznego dnia odjechała z domu profesora. I ten jednak niewiele miał do opowiedzenia. Pamiętał, że odwiózł z Alei Bzów na Dworzec Główny młodą, przystojną panią z kilkuletnią dziewczynką. Zapłaciła, sama wzięła walizki i znikła w tłumie. Badanie kolejowego rozkładu jazdy też nie na wiele się zdało. Między dwunastą a pierwszą w południe z Dworca Głównego odchodziło kilkanaście pociągów w najrozmaitszych kierunkach.

Komisarz Górny zastanawiał się już nad rozesłaniem listów gończych za Beatą Wilczurową, gdy nagle nowe odkrycie pchnęło śledztwo na inne tory.

Mianowicie podczas okresowej rewizji dokonanej u jednego z paserów na ulicy Karmelickiej, wśród wielu rzeczy pochodzących z kradzieży czy rabunku znaleziono czarne palto, marynarkę i kamizelkę wyjątkowo dużych rozmiarów. Chociaż etykiety krawca były odprute, z łatwością dało się odszukać zakład krawiecki, gdzie zostały uszyte, i tą drogą stwierdzono, że należały do zaginionego profesora. Przyciśnięty do muru paser zeznał, iż nabył to od niejakiego Feliksa Żubrowskiego.

Żubrowski, wbrew przypuszczeniom komisarza, nie był nigdy notowany za jakiegokolwiek przestępstwa. Mieszkał na Przywiślnej z żoną i czworgiem dzieci, z zawodu był piaskarzem i zeznał, iż krytycznego dnia ubranie znalazł na brzegu, gdy z rana wracał z libacji. Kilku świadków, może niezbyt godnych zaufania, ustaliło jego alibi. W każdym razie niczego mu nie było można udowodnić i Żubrowskiego po trzech dniach wypuszczono z aresztu. Za jego niewinnością przemawiało to, że Wisła w tym miejscu była głęboka, a samobójstwo profesora Wilczura nader prawdopodobne.

W następnych dniach przeszukano koryto rzeki na przestrzeni kilku kilometrów – bez skutku. Do prosektorium sześć razy sprowadzono służbę z Alei Bzów i prezesa Wilczura, by rozpoznali niezidentyfikowane zwłoki, lecz właściwie było to zbędne: zaginiony profesor miał rzucający się w oczy wzrost około metra dziewięćdziesięciu centymetrów i ważył prawie sto kilogramów.

– Jeszcze nie znaleźliśmy trupa – zrezygnowanym głosem mówił komisarz Górny – może wypłynie na wiosnę. Wisła ma wiele dołów i nieraz zdarza się, że dopiero po kilku miesiącach wyrzuca zwłoki.

– Więc pan potwierdza moje obawy? – pytał prezes.

– Bardzo wiele okoliczności przemawia za samobójstwem. Na wszelki wypadek rozesłałem odbitki fotografii profesora do wszystkich posterunków policyjnych.

– Więc jednak dopuszcza pan ewentualność utraty pamięci?

– Jeżeli mam być szczerzy, nie wierzę w to. Póki jednak zwłoki nie wypłyną, nie wolno mi zaniedbać i tej możliwości. Z tej samej racji nie zaniechałem też hipotezy o morderstwie. Chociaż mam niemal pewność, że może być mowa tylko o samobójstwie. To pewne. Wyszedł z domu oszołomiony nieszczęściem i dlatego nie powziął jeszcze żadnej decyzji. Chodził zapewne długo po mieście, może pił dla zalania robaka...

– Nigdy nie pił – przerwał prezes.

– Tak czy owak, postanowił z sobą skończyć. Bo któż miałby go zabić?... Bandydzi?... Musiałoby być co najmniej trzech albo czterech, by po cichu dać mu radę. To przecież był człowiek wyjątkowej siły fizycznej. A strzały?... No, niewykluczone, ale strzelanina zawsze kogoś zwabi i z uprzągnięciem trupa trzeba bardzo się pośpieszyć. Na palcie zaś i na marynarce nie ma najmniejszego śladu krwi. Pozostaje jeszcze wciągnięcie w pułapkę i zabójstwo w zamkniętym lokalu. Zabójstwo zatem z premedytacją. Otóż komu mogło na tym zależeć, kto na tym zyskiwał?... Nikt. Profesor nie zostawił testamentu. Z samego prawa wszystko, co miał, przechodziłoby na córkę i żonę. Pan prezes jednak zapewnia, że wdowa jest najbardziej bezinteresowną kobietą na świecie. Pozostaje jeszcze jej amant, któremu, sądząc z jego powierzchowności, nie musiało powodzić się najlepiej. Ale i to jest

więcej niż wątpliwe. Gdyby chciał zdobyć pieniądze, potrafiłby namówić profesorową do zabrania gotówki, futer i biżuterii. Stanowiło to przecie kwotę nie do pogardzenia, jakieś, pobieżnie licząc, siedemdziesiąt tysięcy. A kochającą kobietę spryciarz do wszystkiego zdoła namówić.

– Wątpię. Beata miała zasady...

– Panie prezesie, jako doświadczony sędzia wie pan lepiej ode mnie, że gdzie u kobiety zaczyna się miłość, tam kończą się wszystkie zasady. Ale za niewinnością tej pary przemawiają i inne rzeczy. Więc *primo*: nie uciekliby, bo to tylko przeciw nim musiałoby zwrócić podejrzenie. *Secundo*: zgłosiliby się po zaginięciu profesora. Cała prasa przecież trąbiła. A chyba byliby ostatecznie głupi sądząc, że policji wcześniej czy później nie udałoby się odnaleźć, gdyby uważała ich za sprawców zbrodni. Grając na tak wielką stawkę jak spadek po profesorze, zjawiliby się w kilka dni, a tu już drugi miesiąc mija. Muszą mieć czyste sumienie.

– I ja tak sędzę.

– A jeszcze i to! Z doświadczenia wiem, że zbrodniarz nie umie prawie nigdy zdobyć się na cierpliwość. Każdemu z nich pilno osiągnąć to, co pobudziło go do przestępstwa. I zawsze wybiera taktykę kręcenia się pod nosem policji. Pewniejszy się czuje, gdy świeci obecnością, niż kiedy chowa się w cień, co może nań ściągnąć podejrzenia.

– To prawda.

– Niewątpliwa. Rozpatrywałem jeszcze jedno rozwiązanie. Zabójstwo przypadkowe. Powiedzmy, że profesor odnalazł ich i podczas scysji został zabity. W takim wypadku znowuż musimy wziąć pod uwagę, że profesor był siłaczem i że na jego ubraniu nie było ani krwi, ani śladów wywabiania ewentualnych plam krwawych. Niepodobna zaś przypuścić, by ów szczupły i dość cherlawy młodzieniec zdołał zabić takiego olbrzyma bez użycia broni. Dlatego właśnie nie staję na głowie, by ich odszukać.

Prezes przytaknął.

– Może i lepiej byłoby, gdybyśmy ich nie znaleźli... Przynajmniej do czasu, aż sprawa ostatecznie się wyjaśni.

– Może i lepiej – przyznał komisarz.

Zresztą nic innego nie mógł powiedzieć, bo dotychczas policja nie mogła wpaść na najmniejszy ślad po Beacie Wilczurowej, jej córce i po owym nieznanym człowieku.

Mijały miesiące, a w ustawicznej karuzeli, jaką jest życie każdego wielkiego miasta, stopniowo zapomniano o profesorze Rafale Wilczurze i o jego tajemniczym zniknięciu. Foliały akt śledztwa z wolna pokrywał w szafach urzędowych kurz. Potem spiętrzyły się na nich stosy spraw następnych. Aż po roku zapakowano je w skrzynie i przewieziono do archiwum.

Zgodnie z prawem, do zarządzania majątkiem nieobecnego sąd wyznaczył kuratora, a mecenas Szrenk, któremu tę funkcję powierzono, nie miał powodu do narzekania na nią. Pensja płynęła stale, pracy zaś było niewiele. Wilę w Alei Bzów wydzierżawił, kapitały umieścił w papierach pupilarnych, kierownictwo lecznicy powierzył nader uzdolnionemu i budzącemu pełne zaufanie doktorowi Dobranieckiemu, najbliższemu współpracownikowi zaginionego.

W lecznicy zresztą wszystko szło dawnym, jeszcze przez profesora Wilczura ustalonych trybem. W ciągu paru miesięcy wykończono nowy pawilon, a napływ pacjentów, który dość poważnie się początkowo zmniejszył, wrócił do swojej normy. Zmiany zaprowadzone przez doktora Dobranieckiego były niewielkie. Tyle tylko, że skasowano owe bezpłatne miejsca dla niezamożnych dzieci i że kilka osób z personelu ustąpiło, bez szkody zresztą dla instytucji. Pierwszy z racji owych dzieci po dość nieprzyjemnej sprzeczce z szefem zgłosił dymisję asystent doktor Skórzeń, po nim zwolniono buchaltera Michalaka i sekretarkę, pannę Janowiczównę, która rządziła się jak szara gęś i pozwalała sobie wtrącać się w zarządzenia doktora Dobranieckiego, a przy tym drażniła go sposobem bycia pozbawionym dostatecznej dozy szacunku.

Jej zachowanie się raziło tym bardziej, że nowy zwierzchnik w ogóle nieco zaostrzył dyscyplinę w lecznicy, gdzie dotychczas panował nastrój zbyt patriarchalny. Jednocześnie jego osobista pozycja,

nie tylko w zarządzanej instytucji, podniosła się poważnie. Nowe wybory w Kole Chirurgów przyniosły mu tytuł prezesa, a w rok później otrzymał katedrę po zaginionym, z tytułem profesorskim, będąc zaś wysoce uzdolnionym lekarzem i dzielnym człowiekiem, stopniowo, lecz stale dochodził do majątku i sławy.

Z biegiem lat nazwa „Lecznicy Prof. dra Wilczura” stawała się coraz bardziej nieuzasadnionym anachronizmem. Toteż nikogo nie zdziwiło, gdy w końcu za zgodą kuratora nazwę tę zmieniono na „Lecznicę im. Prof. dra Wilczura”. W związku z tym wyszła z druku dość obszerna biografia pióra prof. dra K. Dobranieckiego pt. *Prof. Rafał Wilczur – genialny chirurg*.

Praca ta kończyła się słowami:

„Składając hołd nieodżałowanej pamięci najlepszego Człowieka, mądrego Nauczyciela i wielkiego Uczzonego, polski świat lekarski pozostaje okryty żałobą po jego tragicznym zniknięciu, które niestety już zapewne na zawsze pozostanie okryte mrokiem bolesnej tajemnicy”.

Rozdział III

Przodownik policji w Chotymowie, Wiktor Kania, siedział beczynnie przy stole kancelaryjnym, pokrytym czystą zieloną bibułą i ziewał od czasu do czasu, patrząc przez okno. Posterunek mieścił się w ostatnim domku na skraju miasteczka i z okien roztaczał się rozległy widok na pola pokryte już gęstą zielenią, na brzeg jeziora, gdzie właśnie rozwieszano sieci, na czarną smugę lasu, spod której dymił komin tartaku Hasfelda, i na drogę do tego tartaku, którą szedł właśnie zastępca Kani, posterunkowy Sobczak, z jakimś wysokim, chudym brodaczem.

Sobczak stawiał szeroko nogi, chwiał się przy każdym kroku niby kaczką na obie strony i niósł pod pachą wielki arkusz dykty do tego swego laubzegowania. Brodacz musiał być robotnikiem z tartaku, i to od niedawna. Przodownik Kania widział go po raz pierwszy, a przecież znał wszystkich w Chotymowie i naokoło w promieniu dziesięciu kilometrów. Poza tym to, że Sobczak sam niósł dyktę, dawało do myślenia. Widocznie nie uważał za wskazane skorzystać z usług towarzysza, a zatem z owym towarzyszem nie wszystko było w porządku: towarzyszył Sobczakowi nie z dobrej woli.

Na posterunek w Chotymowie przyprowadzało się różnych ludzi. Za bójki po wsiach, za drobne kradzieże w lesie i w polu, za kłusownictwo. Czasem udawało się przyłapać jakąś grubszą rybę, bandytę lub defraudanta unikającego wielkich szlaków i usiłującego bocznymi drogami dostać się do granicy niemieckiej.

Prowadzony jednak przez Sobczaka brodacz pomimo ogromnego wzrostu nie budził widocznie obaw posterunkowego i pewno chodziło o jakiś drobiazg.

Po chwili drzwi otworzyły się i obaj weszli. Brodacz zdjął czapkę i stanął przy drzwiach. Sobczak zasalutowował i złożył meldunek:

– Ten oto człowiek zgłosił się do tartaku Hasfelda o pracę. Zatrudniono go, ale okazało się, że żadnych dokumentów nie posiada i że nie wie, jak się nazywa ani skąd pochodzi.

– Zaraz zobaczymy – mruknął przodownik Kania i skinął ręką na brodacza. – Macie jakie dokumenty?

– Nie mam.

– Sobczak, obszukaj go.

Posterunkowy rozpiął gruby, zniszczony kubrak, przeszukał kieszenie, położył przed przodownikiem na stole wszystko, co znalazł: nieduży, tani scyzoryk, kilkadziesiąt groszy, kawałek sznurka, dwa guziki i blaszaną łyżkę. Obmacał mu cholewy, ale i tam nic nie było.

– Skąd żeście się tu wzięli? Co? – zapytał przodownik.

– Przyszedłem z Czumki w surskim powiecie.

– Z Czumki?... A po coście przyszli?

– Za pracą. W Czumce robiłem w tartaku. Tartak zamknęli. Ludzie mówili, że tu, w Chotymowie, dostanę zajęcie i zarobek.

– A jak nazywał się właściciel tartaku w Czumce?

– Fibich.

– Długoście tam robili?

– Pół roku.

– A urodziliście się też w surskim powiecie?

Brodacz wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Nie pamiętam.

Przodownik spojrzał nań groźnie.

– No, no! Tylko nie mnie będziecie zawracać głowę! Piśmienny?

– Tak.

– Więc gdzie byliście w szkole?

- Nie wiem.
- Wasze imię i nazwisko? – krzyknął zniecierpliwiony Kania.
- Brodacz milczał.
- Głusi jesteście?
- Nie, panie przewodniku, i niech pan nie gniewa się na mnie. Ja przecież niczego nie zrobiłem.
- No, to mówcie prawdę!
- Prawdę mówię. Nie wiem, jak się nazywam. Może wcale się nie nazywam. Wszyscy mnie o to pytają, a ja nie wiem.
- Więc co! Nigdy nie mieliście dokumentów?
- Nigdy.
- To jak was do pracy przyjmowali? Bez papierów?
- Po miastach to wszędzie papierów żądali i nie chcieli tak przyjąć. A po wsiach to nie każdy na to zważa. Ot, nazwą jakkolwiek, jak komu wygodnie, i już. Tu, w tutejszym tartaku też podałem nazwisko, jakim mnie w Czumce przezwali: Józef Broda. Ale panu posterunkowemu sam powiedziałem, że to przezwisko. Ja nic złego nie zrobiłem i sumienie mam czyste.
- To się okaże.
- Pan przodownik może napisać do tych, gdzie pracowałem. Nikomu nic nie ukradłem.
- Przodownik zamyślił się. Już nieraz w swojej praktyce miał do czynienia z różnymi osobnikami, ukrywającymi swoje nazwisko, a jednak zawsze podawali jakiegokolwiek zmyślane. Ten zaś uporczywie twierdził, że nie ma nazwiska.
- A gdzie wasza rodzina?
- Nie wiem. Nie mam żadnej rodziny – z rezygnacją odpowiedział brodacz.
- A byliście sądownie karani?
- Tak jest.
- Przodownik szeroko otworzył oczy.
- Gdzie?
- W zeszłym roku w Radomiu, a trzy lata temu w Bydgoszczy. Raz na miesiąc, a raz na dwa tygodnie.
- Za co?
- Za włóczęgostwo. Ale niesprawiedliwie. Czy jak kto pracy szuka, to włóczęga?... Po prawdzie, to za to, że dokumentów nie miałem. I prosiłem i w sądzie, i na policji, i w więzieniu, żeby mi wystawili jaki dokument. Ale nie chcieli. Mówili, że takiego prawa nie ma. To co mam robić?
- Chrząknął i rozłożył ręce.
- Niech mnie pan puści, panie przodowniku. Ja nic złego nikomu nie zrobię.
- Puścić?... Przepisy na to nie pozwalają. Odeślę was do starostwa, a tam niech robią, co im się podoba. Możecie usiąść i nie przeszkadzajcie. Muszę sporządzić protokół.
- Wyciągnął z szuflady arkusz papieru i zaczął pisać. Długo się namyślał, bo brak nazwiska i miejsca urodzenia zatrzymanego osobnika psuł mu cały schemat protokołu. Wreszcie skończył i spojrzał na brodacza. Szpakowaty zarost i włosy wskazywały, że musi mieć coś koło pięćdziesiątki. Siedział bez ruchu, wpatrzony w ścianę, a jego przeraźliwa chudość i zapadnięte policzki sprawiały wrażenie szkieletu. Tylko ogromne, spracowane ręce poruszały się jakimś dziwnym, nerwowym ruchem.
- Przenocujecie tu – powiedział Kania – a jutro odeślę was do powiatu.
- Wstał i dodał:
- Nic wam tam nie zrobią. Najwyżej odsiedzicie za włóczęgostwo i puszcza.
- Jak inaczej nie można, to nie ma rady – ponuro mruknął brodacz.
- A teraz chodźcie tu.
- Otworzył drzwi do małej komory z zakratowanym okienkiem. Na podłodze leżał siennik, grubo nabity słomą. Drzwi były z tęgich desek.

Gdy zamknęły się, brodacz położył się na sienniku. I zaczął rozmyślać. Zarówno ten przodownik, jak i drugi policjant nie byli złymi ludźmi, a jednak widocznie prawo nakazywało im być złymi. Za cóż znowu pozbawiono go wolności, za co wciąż patrzą na niego jak na przestępcę?... Czy to taka naprawdę konieczna rzecz mieć dokumenty i jakoś się nazywać?... Czy od tego człowiek stanie się inny?...

Tłumaczyli mu tyle razy, że to niemożliwe, by wcale się nie nazywał. I on w końcu musiał im przyznać słusność. Ale bał się o tym myśleć. Gdy tylko zaczął, ogarniało go dziwne uczucie: jakby zapomniał coś, coś niezmiernie ważnego. I nagle myśli opanowane gorączkowym niepokojem rozbiegały się we wszystkie strony, zbijały się w jakieś pogmatwane kłębowiska, szarpały się rozpaczliwie jak zwierzęta ogarnięte dziką paniką; wirowały coraz szybciej, bez sensu, bez celu, potem rwały się w strzępy, w jakieś dziwaczne kłaczki, niby bezkształtne, beztreściowe żyjące potworki, zrastały się w wielki motek waty wypełniający całą czaszkę.

W takich chwilach doznawał najokropniejszego strachu. Zdawało mu się, że oszaleje, że dostaje obłądu i że jest wobec zbliżającej się katastrofy bezradny, bezsilny i zgubiony. Bo przecie w tym piekielnym chaosie ani na moment nie tracił świadomości. Gdzieś wewnątrz mózgu jakiś precyzyjny aparat notował z całym spokojem każdy objaw, każdą fazę. I w tym była największa męka.

Na próżno całym wysiłkiem woli usiłował wyrwać się z chłonnego bagna. Przestać myśleć, skupić uwagę na jakimś przedmiocie, ratować się. Jedynie fizyczny ból przynosił lekką ulgę. Wpijał zęby do krwi w ciało, gryzł ręce i tłukł głową o ścianę aż do utraty sił, do omdlenia.

Wtedy leżał bezwładny i do ostateczności wyczerpany, niemal martwy.

Toteż bał się, bał się obrzydliwym, zwierzęcym lękiem swojej pamięci. Bał się wszystkiego, co go mogło pobudzić do niebacznego zajrzenia w mgłę przeszłości, w ten koszmarny mrok, którego nie podobna przeniknąć, a który przyciąga jak otwarta przepaść.

Dlatego takie przesłuchanie na posterunku było dlań ciężką torturą i gdy znalazł się sam, a stwierdził, że groza ataku minęła, niemal cieszył się z tego zamknięcia.

Jednakże ponowne zatrzymanie przez policję, męczarnia badania i groźba ataku kazały mu zastanowić się nad koniecznością uchronienia się przed tym wszystkim na przyszłość. Na to zaś był jeden tylko sposób: mieć dokumenty. A ponieważ legalną drogą niepodobna było ich sobie wyrobić, należało je ukraść, zabrać komuś.

Nie wiedział jeszcze, jak to zrobić, ale postanowienie zapadło.

Nazajutrz wczesnym rankiem odstawiono go do starostwa w oddalonym o kilkanaście kilometrów większym miasteczku. Starostwo mieściło się w dużym, murowanym budynku. Posterunkowy zostawił brodacza na parterze pod dozorem policjanta pilnującego jeszcze kilku aresztowanych. Po długim oczekiwaniu zaczęto ich po jednym wywoływać na pierwsze piętro, gdzie była sala sądu starościńskiego.

Tłuściutki, młody urzędnik siedział za stołem przykrytym zielonym sukniem i zawalonym papierami. Sądził szybko. Gdy przyszła jednak kolej na brodacza, nabrał widocznie jakichś wątpliwości czy podejrzeń, gdyż kazał mu czekać. Policjant wyprowadził go tedy do sąsiedniego pokoju. Tu przy stole siedział jakiś staruszek i pisał zawzięcie. Pokoik był mały. Gdy brodacz usiadł na ławce pod oknem, z nudów zaczął przyglądać się pracy staruszka. Na biurku tym leżały stosy papierów. Były tam podania oblepione markami stemplowymi, kolorowe awizacje i – brodacz drgnął: niemal najbliżej od niego leżała paczka papierów złączona spinaczem, a na samym wierzchu leżał dokument. Była to metryka. Przynął się bliżej i przeczytał. Wystawiona była na nazwisko Antoniego Kosiby, urodzonego w Kaliszu. Obliczył lata: 52. Pod spodem były pieczęcie...

Brodacz obejrzał się na policjanta: stał odwrócony plecami i czytał jakieś ogłoszenia naklejone na drzwiach. Teraz trzeba było tylko położyć czapkę na biurku, tak by przykryć nią papiery.

– Proszę zabrać tę czapkę – oburzył się staruszek. – Też znalazł sobie miejsce.

– Przepraszam – bąknął brodacz i zsunął ją wraz z paczką papierów, po czym zwinął je w rulon i ukrył w kieszeni.

Oczywiście tym razem nie mógł się posłużyć tak zdobytymi dokumentami i został skazany na trzy tygodnie aresztu za nałogowe uprawianie włóczęgi.

Po trzech tygodniach wyszedł jednak z więzienia powiatowego i ruszył w świat już jako Antoni Kosiba.

Rozdział IV

W samych Odrynach, w majątku, nie było nic godnego widzenia. Wielki pałac spalony podczas wojny, obrosły pokrzywami, łopianem i końskim szczawiem, z roku na rok pokrywał się mchem i pleśnią i rozsypywał się w gruzy. Właścicielka, księżna Dubancewa, wdowa po dygnitarzu petersburskiego dworu, mieszkała stale we Francji i nie przyjeżdżała nigdy. Rządca, stary dziwak, pan Poleszkiewicz, zajmował dwa pokoiki w drewnianej oficynie na folwarku, gdzie też nie brakło śladów zapuszczenia i zaniedbań.

Ale wokół rozciągała się rozległa i przepiękna Puszcza Odryniecka, tysiące hektarów porośniętych gęsto sosnami i jodłami, dębami i brzoźami, podszyta leszczyną i jałowcem, poprzerzynana krętymi, wąskimi drózkami, na których częściej spotykało się ślady dzika czy rogacza niż konia lub człowieka. Z lotu ptaka cała ta ogromna przestrzeń wyglądała jak mieniący się zielony aksamit, w który powszywano gęsto błyszczące tafelki dżetów. Bo i wód tu nie brakowało. Małe i większe jeziora, połączone ukrytymi w łożach i olchach strumykami, sprawiały, że łatwiej było puszcze objechać łódką niż obejść piechotą. Łódkami też najczęściej posługiwali się nieliczni gajowci.

Tylko do dworku w środku puszczy musieli iść piechotą. Dworek stał na wzgórzu, na niewielkiej polanie, ze wszystkich stron otoczonej wysokim murem starego lasu. W dworku mieszkał leśniczy, pan Jan Oksza, syn starego Filipa Okszy, który przez lat z górą czterdzieści Puszcza Odryniecką zarządzał, a po śmierci synowi i posadę, i wszystko, co miał, zostawił. Młody od dzieciństwa do szkół do Wilna, a później do dalekiej Warszawy wysłany, wrócił po latach z dyplomem leśnika w kieszeni, z żoną i córeczką, w dworku zamieszkał i już piąty rok nieograniczoną władzę w puszczy sprawował. Nieograniczoną, gdyż jego zwierzchnik, pan Poleszkiewicz, we wszystkim mu ufał, do niczego się nie wtrącał i do leśniczówki, jeżeli zaglądał, to nie po to, by książki sprawdzać, lecz by z panią Beatą Okszyną pogadać, z panem Janem partyjkę szachów zagrać lub małą Marysię na siodle przed sobą usadowić i „powozić” na polance. Był to zresztą niemal jedyny gość, który do leśniczówki zaglądał.

Pan Oksza widać po ojcu odziedziczył usposobienie odludka, do sąsiadów, których zresztą daleko przysłoby szukać, nie lgnął, a i oni go nie nachodzili. Domator też był pomimo młodego wieku wielki, czemu nie dziwiono się również, gdyż żonę miał piękną i – jak mówił gajowy Barczuk – „bardzo przychylną”, córeczkę jak aniołka i szczęście w domu.

Toteż i wyjeżdżał nader niechętnie. Ilekroć zmuszony był wybrać się do powiatowego Brasławia albo, Boże nie daj, do samego Wilna, wyjazd z dnia na dzień odkładał, może i z tego powodu, że trochę „słabował” na zdrowiu, a podróż męczyła go bardzo. Bywało, jak się trochę zaziębił, to krwią pluł i w łóżku musiał leżeć. A że dobry był człowiek, ludzki i sprawiedliwy, wszyscy podwładni żalowali go bardzo patrząc, jak w oczach niknie. Dwa razy to nawet doktora doń trzeba było przywozić, co niełatwo i drogo, bo osiem mil to nie fraszka. Mówili ludzie, że młody leśniczy już z tego nie wyjdzie, i na to rzeczywiście wyglądało.

Lato w puszczy jest piękne. Mocno pachnie żywica, powietrze ciepłe jak w piecu, rozmaitych muszek tyle, że aż w uszach brzęczy. Chwieją się wierzchołki smukłych sosen, wiatr szumi w koronach starych dębów, mchy jak dywan puszyste, jagód i grzybów co niemiara i żyć tu, i nie umierać. A gdy jesień przyjdzie, cisza w borze zalega taka jak w kościele podczas podniesienia. Stoją drzewa zamyślane i nawet nie czują, jak z nich liście złocistymi i czerwonymi płatkami spadają i spadają. A w zimie śnieg wszystko pokrywa, wysoko, głęboko, grubymi poduszkami na gałęziach narasta, a gdy człowiek odetchnie, gdy mroźne zdrowe powietrze do piersi wciągnie, to aż radość ogarnia.

Ale po zimie wiosna przychodzi. Z odtającej ziemi leśnej, z jezior i bagien opary wilgotne wstają, i wtedy to najgorzej tym, co ich suchoty męczą. Tak było i z panem leśniczym Okszą. Zimą dobrze przetrzymał, ale gdy w marcu śnieg topnieć zaczął, na zdrowiu zapadł. A jak zapadł, to już czwarty tydzień w łóżku leżał i w sypialni raporty od gajowych odbierał. Schudł tak, że i trudno go

było poznać, a czasem jak porwał go kaszel, jak zaczął nim trząść, to i mowę na kwadrans czy dłużej tracił. Tylko pot mu wielkimi kroplami występował na czoło i dyszał z trudem.

W sobotę to było, gdy już pani gajowych całkiem nie wpuściła. Wyszła do nich do kuchni, sama blada i mizerna, i powiedziała cicho:

– Mąż tak źle się czuje, że... że nie można go męczyć.

I rozplakała się.

– A żeby tak doktora przywieźć, paniczka – odezwał się jeden. – Zawsze lżej mu umierać będzie.

– Pan nie chce doktora – potrząsnęła głową. – Sama błagam go o to, nie chce zgodzić się.

– Ja by pojechał po doktora – ofiarował się inny. – A panu leśniczemu można powiedzieć, że doktor sam przejazdem, znaczy się po drodze zajechał.

Na tym stanęło i pani Okszyzna otarła łzy i wróciła do sypialni. Po wielu nieprzespanych nocach sama ledwie powłóczyła nogami. Gdy jednak zbliżyła się do łóżka chorego, usiłowała uśmiechnąć się i udawać dobre myśli. Bała się, by wzrok Janka nie wyczytał prawdziwych, tych strasznych i bolesnych myśli, które zadreślały jej biedną duszę. Gdy on zapadał w sen, wówczas klękała i modliła się żarliwie.

– Boże, przebac mi, nie karz mnie, nie mścij się nade mną! Nie zabieraj mi go. Zgrzeszyłam, zrobiłam wiele zła, ale wybacz! Wybacz! Nie mogłam inaczej!

I łzy jej ciekły po przezroczystej twarzy, a usta drżały w szepcie niezrozumiałych słów.

Lecz Janek budził się prędko. Przychodził nowy atak kaszlu i na ręczniku zjawiała się nowa krwawa plama. Trzeba było podawać lód i lekarstwa.

Niespodziewanie wieczorem nastąpiła poprawa. Gorączka spadła. Kazał podnieść się wyżej i usiadł. Bez protestu wypił szklanekę śmietanki i powiedział:

– Zdaje mi się, że będę żył!

– Na pewno, na pewno, Janku! Kryzys minął, to oczywiste. Czujesz się silniejszy. Zobaczysz, za miesiąc wrócisz zupełnie do zdrowia.

– Tak myślę. Czy Mariola jeszcze nie śpi?

Nigdy nie nazywał jej tym imieniem. Nie lubił go i od początku nazywał ją po prostu Marysią, do czego z czasem przyzwyczaiła się i Beata.

– Nie, jeszcze nie śpi. Odrabia lekcje.

– Więc jeszcze masz czas na lekcje z nią?...

Umilkł, a po chwili powiedział:

– Boże, ile ja tobie i jej wyrządziłem krzywdy.

– Janku! Jak możesz mówić takie okropne rzeczy! – przeraziła się.

– To prawda.

– Sam w to nie wierzysz. Dałeś nam tyle szczęścia, tyle najpiękniejszego szczęścia!...

Przymknął oczy i szepnął:

– Kocham cię, Beato, z każdym dniem bardziej. I to ta moja miłość nie pozwoli mi umrzeć.

– Nie umrzesz, nie możesz umrzeć. Bez ciebie życie dla mnie byłoby gorsze od śmierci. Ale nie mówmy o tym. To już minęło, dzięki Bogu. Wiesz co? Zawołam Marysię. Już tak dawno ciebie nie widziała. Pozwól!

– Nie powinienem. Tu powietrze pełne zarazków. Już i to mnie przejmuje obawą, że ty wciąż nim oddychasz. Dla jej młodziutkich płuc to trucizna.

– Niech więc stanie na progu. Zamień z nią chociaż kilka słów. Ty nawet nie wiesz, jak się ona o to dopomina.

– Dobrze – zgodził się.

Beata uchyliła drzwi i zawołała:

– Marysiu! Tatusz pozwala ci przyjść.

– Tatusiu! – rozległ się z głębi domu radosny pisk, a później tupot prędkich kroków.

Dziewczynka wbiegła i stanęła nieruchomo. Już od dwóch tygodni nie widziała chorego i zmiana, jaka w nim zaszła, widocznie ją przeraziła.

– Tatuś ma się dziś lepiej – prędko mówiła Beata – ale pozwala ci tylko stać przy drzwiach. Wkrótce już wstanie i będziecie znowu razem chodzić do lasu.

– Jakże tam ci idzie, drogie dziecko? – zapytał Oksza.

– Dziękuję, tatusiu. A wie tatuś, że podmyło tę krzywą brzozę przy Siwym Ruczaju?

– Podmyło?

– Tak. Mikoła powiada, że się jak nic przewróci. I mówił jeszcze, że jego syn, Gryszka, widział wczoraj cztery łosie przy brodzie humińskim. Szły jeden za drugim.

– To pewno te z Czerwonego Lasu.

– Aha, Mikoła też tak myśli.

– A nie zapomniałaś już botaniki i fizyki z kretelem? – zapytał z uśmiechem.

– Wcale nie, tatusiu! – zapewniała i na potwierdzenie tego zaczęła wyliczać, czego nauczyła się sama. Po krótkiej rozmowie Oksza pożegnał dziewczynkę, posyłając jej ręką całusa.

Ręka była wychudła i nienaturalnie biała.

Gdy Marysia wyszła, powiedział:

– Jak ta dziewczyna rośnie. Ma dopiero dwanaście lat, a już jest prawie taka jak ty. W przyszłym roku będziemy jednak musieli oddać ją do szkoły. Mam nadzieję, że wreszcie księżna dostanie pozwolenie wyrębu i my wówczas staniemy na nogi.

– Bóg da. Byleś tylko ty prędej wyzdrowiał.

– Tak, tak – przyznał z energią – muszę wyzdrowieć i zakrzętnąć się koło interesów. Jeżeli wyrębu nie będzie, zdecydowałem się szukać innej posady. Ciężko rozstać się z Odryniecką Puszcza, ale Marysia dorasta. To ważniejsze.

Zamyślił się i po chwili zapytał:

– Dużo znów wydałaś na lekarstwa?

– Nie troszcz się o to.

– Wiesz, zastanawiałem się, że gdybym teraz umarł, niewiele zostałoby ci po zapłaceniu kosztów pogrzebu. To mnie dręczyło najbardziej... Ze sprzedanych mebli starczyłoby ci na jakiś rok. Zwłaszcza te stare makatki. Są podobno cenne.

– Janku! O czym ty mówisz! – zawołała z wyrzutem.

– Nic, powtarzam, co sobie myślałem. Myślałem też, że w razie czego masz prawo upomnieć się o jakąś rentę dla Marysi. Nie sądzę, by Wilczur się odnalazł. Byłoby o tym w gazetach. Musi tam jednak ktoś zarządzać jego majątkiem, a Marysia ma do tego majątku prawo.

Na twarz Beaty wystąpiły rumieńce.

– I to ty mówisz, Janku?! – zawołała, nie ukrywając oburzenia.

Dotychczas w ciągu pięciu lat nie było między nimi ani najmniejszej wzmianki o profesorze. Od pięciu lat, odkąd kazał jej nawet bieliznę i ubranka Marioli odesłać do jakiegoś przytułku dla biednych dzieci.

Oksza spuścił oczy.

– Nie mam prawa skazywać jej na nędzę.

– A ja nie mam prawa wyciągać ręki po jego pieniądze. Sto razy, tysiąc razy wolałabym umrzeć. Nigdy, słyszysz, Janku, nigdy!

– Dobrze, nie mówmy już o tym. Ale widzisz, gdybym ja nie żył... Kiedy sądziłem, że umrę, ogarniał mnie strach na myśl, co się stanie z wami...

– Umieć szyć, umieć haftować, mogę dawać lekcje... Wszystko, byle nie tamto. Zastanów się, z jakim czołem mogłabym przyjść do jego spadkobierców z żadaniami, ja, którą oni... mają prawo uważać za winowajczynię jego śmierci. A zresztą, Janku, po co o tym w ogóle mówimy? Czujesz się zdrowy, dzięki Bogu, i wszystko pójdzie jak najlepiej.

– Na pewno, kochana, na pewno – przytulił twarz do jej ręki.

- No widzisz! – rozpromieniła się. – A teraz musisz postarać się zasnąć. Już późno.
- Dobrze. Czuję się trochę senny.
- Dobranoc jedyny, dobranoc. Sen jeszcze ci sił doda.
- Dobranoc, moje szczęście.

Ośloniła lampę, owinęła się pledem i ułożyła się na sofie. Po kwadransie jednak przypomniała sobie, że musi mu jeszcze przed nocą dać krople.

Podniosła się, odliczyła dwadzieścia kropel lekarstwa pachnącego kreozotem, dołąła wody i pochyliła się nad chorym.

- Janku – odezwała się półgłosem – trzeba wypić lekarstwo.

Nie obudził się. Delikatnie dotknęła jego ramienia i pochyliła się nad nim.

Wtedy zobaczyła, że ma otwarte oczy.

Już nie żył.

Rozdział V

Akurat na połowie drogi między Radoliszkami a Nieskupą stał od niepamiętnych czasów młyn wodny, niegdyś własność ojców bazylianów z klasztoru w Wickunach, przez nich założony za czasów króla Batorego, obecnie należący do Prokopa Szapiela, zwanego powszechnie z białoruska Prokopem Mielnikiem.

Ziemia w okolicy nie była ani zbyt bogata, ani zbyt żyzna, ot, żytnio-kartoflana i przeważnie należąca do drobniejszej szlachty i chłopów, ale żyta do przemiału Prokopowi nie brakowało, bo konkurencji żadnej w pobliżu nie miał, nie licząc wiatraka w odległej o pięć kilometrów litewskiej wiosce Bierwintach. A ten na osiemdziesiąt chat nastarczyć nie mógł, bo Litwini odznaczali się wyjątkową gospodarnością i niejedyn z pięciu dziesięcin więcej zebrać umiał niż białoruski gospodarz z siedmiu albo i ośmiu.

Tak samo było i w Nieskupej. W Nieskupej siedzieli Moskale, staroobrzędowcy, co tu z Rosji kiedyś przyszl. Chłopy wszystko wielkie, zdrowe, robotne, co im nie sztuka była od wschodu do zachodu za pługiem chodzić, a orać tak głęboko, że i w Bierwintach tak nie orali.

W Radoliszkach zaś, jak to w miasteczku, były Żydki, co na mniejszą skalę zajmowali się skupem zboża po dalszych wsiach, zarówno na potrzeby miasteczkowych, jak i na wywóz z Wilna. Od nich Prokop Mielnik też robotę miał. Toteż nie narzekał i byle posucha nie przyszła, byle wody w stawach nie zabrakło, to i nie miał przyczyny. A posucha zdarzała się rzadko w tych stronach i musiała być już nie wiadomo jak długotrwała, by wody na koło nie starczyło. Bo stawy, chociaż paręset lat temu kopane, solidne były, głębokie, no i co dziesięć lat szlamowane, by nie zarosły.

Stawów było trzy. Dwa górne i jeden dolny. Wszystkie gęsto wierzbami obrośnięte. Do dolnego spadek był duży, ze dwa sążnie, a oprócz koryta, co na koło szło, były jeszcze dwa wielkie spusty na wypadek powodzi. W stawach ryb było sporo: płotki, miętusy, okonie, ale najwięcej kielbi. I raków nie brakowało. W głębokich jamach pod korzeniami, które woda wypłukała, gnieździły się setkami. Obadwaj⁹ parobcy Prokopa, a już zwłaszcza młodszy Kaziuk, strasznie naumieli się je łapać. W wodzie po kolana stoi, a co nachyli się i rękę po łokieć albo i głębiej w norę wsadzi, to już raka wyciąga.

W samym młynie wprawdzie nikt by ich nie jadł, uważając za robactwo, ale w miasteczku, w Radoliszkach, zawsze można było je sprzedać: i ksiądz katolicki, i pop prawosławny, i doktor, a zwłaszcza ten był na nie amatorem. Wolał za poradę pół kopy raków wziąć niż dwa dziesiątki jaj albo i trzy złote.

Za miasteczkiem, wiorst jeszcze ze dwanaście, w fabryce też amatorów było niemało, ale tu trzeba było natrafić na okazję. Pieszko za daleko, a stary Prokop konia na takie rzeczy nie dawał, choć ten już całkiem był zastały, a spasiony jak świnia. Obroku mu, wiadomo, nie brakowało. Stał tylko, z nogi na nogę przestępował i parskał, aż po całym chlewie się rozlegało. Chlew był duży, mocny, z grubych okrągłaków budowany. Oprócz konia stały tam dwie krowy i w przegrodzie świniaki. Pod daszkiem było miejsce na wóz i sanie.

Dom dobudowany był do młyna. Miał trzy izby, w których Prokop z rodziną i z parobkami mieszkał, i przybudówkę, nową całkiem, którą dla najstarszego syna, Albina, jeszcze postawił, gdy Albin miał się żenić. Od śmierci Albina przybudówka pusta stała, bo i drugiego syna, gdy do niej się sprowadził, zaraz nazajutrz nieszczęście spotkało. Mówili ludzie, że ktoś musiał na nią urok rzucić czy złym okiem na podmurówkę spojrzeć. A czy prawda to była, czy nieprawda, dość, że nikt tam zamieszkać nie chciał, choć byli i tacy, co po cichu zapewniali, że nie przybudówka uroczona, ale Bóg Prokopa Mielnika na potomstwie pokarał za to, że swego brata wyprocesował i z torbami puścił.

⁹ *obadwaj* – dziś: *obydwaj*. [przypis edytorski]

Strasznie takie gadanie gniewało Prokopa. Ścierpieć tego nie mógł i niejeden już za swoje podejrzenia dobrze od niego oberwał.

A jednak w tym czy owym musiało coś być. Miał przecież stary Mielnik trzech synów. Średni na wojnie zginął, najstarszy przed samym ożenkiem po pijanemu na lód wszedł, ten złamał się, i utonął. A najmłodszy, wbijając klin w sworzeń na samej górze, zwałił się i omal życia nie postradał, a i tak obie nogi połamał. Na próżno sprowadzali doktora, na próżno doktor w deszczułki mu nogi układał. Na całe życie kaleką już musiał zostać, chodzić nie mógł. Piąty miesiąc to siedział, to leżał, do nijakiej roboty się nie nadawał i tak przy osiemnastu latach ciężarem ojcu był.

I z córką nie powiodło się Mielnikowi. Wyszła za męża za majstra w cegielni, ale majster przy pożarze zginął, a ona, że to w ciąży była akurat, widać z tego urodziła dziecko chore, na padaczkę cierpiące.

Oto dlaczego stary Prokop chodził ponury jak noc i wilkiem patrzył, chociaż mu ludzie bogactwa zazdrościli, choć młyn nie próżnował i choć sam na zdrowie narzekać nie mógł.

– Tego roku na jesieni jeszcze jeden kłopot przybył: młodszego parobka, Kaziuka, brali do wojska. Na jego miejsce byle kogo Prokop przyjąć nie chciał. We młynie praca jest odpowiedzialna, wymaga roztropności i siły. Byle pastuch do tego się nie nadawał. Długo zastanawiał się stary, aż wybór jego padł na Nikitkę Romaniuka z Poberezia. Ojciec Nikitki miał i tak dwóch żonatych synów, a najmłodszy nawet do miast chodził za pracą. Chłopak zdrowy, do rzeczy i nawet szkołę ukończył.

Powziąwszy raz postanowienie, we czwartek, jako w dzień targowy w Radoliszkach, Prokop wybrał się w drogę. Blisko było z młyna do tartaku, niecała wiorsta. A traktem właśnie ciągnęli chłopci na targ. Jedna za drugą przejeżdżały bryczki i wozy. Każdy Mielnikowi kłaniał się, bo znali go wszyscy. Ten i ów, nie zatrzymując szkapy, zagadał, patrząc ciekawie, jak stary przyjął dopust boży, który pokręcił mu ostatniego syna, Wasilka. Ale po twarzy Prokopa nic nie było można poznać. Jak zawsze miał zmarszczone brwi i poruszał swoją łopaciastą, siwą brodą.

Nadjechał wreszcie i Romaniuk. Musiał po zakupy jechać, bo wóz był pusty, tylko z tyłu jego baba siedziała.

Prokop kiwnął mu ręką i zaczął iść obok wozu. Uścisnęli sobie dłonie.

– No, co tam? – zapytał Romaniuk. – Tuczysz się, bracie?

– Żyję z bożą pomocą. Ale zmartwienie mam.

– Słyszałem.

– Nie to. Tylko Kaziuka do wojska biorą.

– Biorą?

– A biorą.

– Tak to?...

– Aha. A wiesz, że zarobek u mnie dobry. Parobek głodu nie zazna i jeszcze odłoży.

– Wiadomo – przyznał Romaniuk.

– Tak ja sobie pomyślałem, że twój, niby Nikita, podchodziłby do takiego zajęcia.

– Czemu nie.

– Nu, to jak?

– Co jak?

– Nu, z Nikitą?

– Ano, żeby u ciebie, do pracy?

– Aha.

Romaniuk podrapał się po głowie, w jego małych, siwych oczkach błysnęła radość. Powiedział jednak obojętnym tonem:

– Chłopak zdrowy...

– To i chwala Bogu – śpiesznie mruknął Prokop w obawie, by Romaniukowi nie przyszło do głowy zapytanie o zdrowie Wasila. – Tylko żeby na przyszły piątek przyszedł, bo w piątek Kaziuka biorą.

- To dobrze, bracie, że mówisz. Bo jego w domu nie ma. On teraz aż do Oszmiany pojechał.
- Roboty szukać?
- A pewno.
- Ale wróci?
- Co nie ma wrócić? Zaraz z Radoliszek pocztową karteczkę do niego wyślę.
- No, to i dobrze. Żeby na piątek...
- Toż rozumiem.
- Pracy teraz wiele. Nie zdołam bez dwóch parobków – dodał Prokop.
- Przyjedzie na czas.
- To z Bogiem!
- Z Bogiem.

Romaniuk potrząsnął lejcami, na co zresztą mały, brzuchaty siwek nawet nie zwrócił uwagi, i pograżył się w myślach pełen zadowolenia. Wielkie to jednak było wyróżnienie, że Mielnik spośród tylu wybrał jego syna.

Odwrócił się i spojrział na żonę. Z grubych chustek, które szczelnie opatulały jej głowę, widać było tylko nos i oczy.

- Naszego Nikitę Mielnik bierze – powiedział.

Baba westchnęła:

- Boże, mój Boże!...

I nie wiadomo było, czy cieszy się, czy się martwi. Zresztą Romaniuk nigdy się nad tym nie zastanawiał. Głos już miała taki jęklivy.

Cieszył się i Prokop. Strasznie nie lubił zmian i niepokojów. Teraz sprawa była załatwiona. Tak mu się przynajmniej zdawało, a zdawało się aż do piątkowego wieczoru.

Dnia tego później niż zazwyczaj zabrał się do zamykania młyna. Wciąż czekał. Domowi nawet nie domyślali się, dlaczego jest taki zły, gdyż nikomu nie powiedział. Ale za to w sobie pienieł się znowu. Przecie wyraźnie kazał mu przyjść w piątek! Kaziuka już nie było. Od jutra roboty nawali, a tu choć głową w ścianę bij.

- Czekaj ty, szczenię zatracone – warczał cicho, kręcąc brodę.

I przysięgał sobie, że nie weźmie go, choćby z samego rana przyszedł. Sobota to nie piątek. Lepiej pierwszego lepszego, z gościńca, nawet złodzieja, byle nie Nikitę.

Ale i nazajutrz Nikitka się nie zjawił. Trzeba było wziąć do pomocy jednego z chłopów, który żyto do młyna przywiózł.

Następnego dnia, jako w niedzielę, młyn był nieczynny, Prokop, pomodliwszy się, choć mu gniew w pacierzach przeszkadzał, wyszedł przed dom i usiadł na ławeczce. Długo żył, ale nie zdarzyło mu się jeszcze, by ktoś zrobił mu taki zawód. Chciał chłopcu łaskę wyświadczyć, a ten nie zjawił się. Oczywiście, musiał w Oszmianie pracę znaleźć i dlatego nie przyjechał, ale i to go nie usprawiedliwiało.

- Pożałują tego te Romaniuki – mruczał, pociągając dym z fajki.

Słońce świeciło jasno. Dzień był ciepły i cichy. Nad stawami zganiało się ptactwo w pogoni za owadami. Nagle na gościńcu rozległ się warkot. Stary przysłonił oczy ręką. Gościńcem pędził motocykl.

- W dzień święty takie rzeczy – splunął. – Boga się nie boją.

Wiedział, o kim mówi. Cała okolica już od wiosny wiedziała, że to z Ludwikowa, z fabryki, syn właściciela, młody pan Czyński. Za inżyniera za granicami się uczył, a teraz na odpoczynek do rodziców przyjechał. Gadali, że po ojcu miał zarząd fabryki objąć, ale jemu w głowie był tylko ten motocykl, diabelska maszyna, żeby ludziom po nocach spać nie dawać i konie na drogach straszyc.

Toteż z niechęcią spoglądał stary za tumanem kurzu znikającym na gościńcu. A patrząc w tamtą stronę zobaczył człowieka idącego drogą do młyna. Człowiek szedł wolno, równym krokiem,

na plecach niósł węzełek na kiju. Najpierw zdawało się Prokopowi, że to Nikitka, i krew mu napłynęła do twarzy, ale gdy idący zbliżył się, okazało się, że jest już niemłody, z czarną, siwiejącą brodą.

Przyszedł, uklonił się, po bożemu pozdrowił i zapytał:

– Czy pozwolisz przysiąść i o wodę poprosić? Dzień gorący i pić się chce.

Młynarz obrzucił go uważnym spojrzeniem, odsunął się, robiąc obok siebie miejsce na ławce i skinął głową.

– Przysiąść każdemu wolno. A wody u nas, dzięki Bogu, nie brakuje. Ot tam, w sionce, ceber stoi – wskazał za siebie.

Przybysz wydał mu się sympatyczny. Smutną miał twarz, ale Prokop sam zbyt wiele zmartwień przeżył, by lubił twarze wesole. A temu przy tym i z oczu dobrze patrzyło. Od każdego zaś podróżnego człowiek może czegoś ciekawego dowiedzieć się. Ten zaś widać z dalekich stron pochodził, bo jego mowa inna była.

– A skądże to Bóg prowadzi? – zapytał Prokop, gdy nieznajomy wrócił i usiadł, ocierając wierzchem dłoni krople wody, osiadłe na brodzie i na wąsach.

– Z daleka. A teraz spod Grodna idę. Za pracą.

– I od Grodna toś pracy nie znalazł?

– Owszem, robiłem przez miesiąc u kowala w Mickunach. A robota skończyła się, to i poszedłem dalej.

– W Mickunach?

Tak.

– Znam tamtego kowala. Czy to nie Wołowik?

– Wołowik, Józef. Z jednym okiem.

– To prawda. Iskra mu wypaliła. A znaczy się ty sam też kowal.

Przybysz uśmiechnął się:

– I kowal, i nie kowal. Każdą robotę znam...

– Jakże to tak?

– Ano już lat ze dwadzieścia¹⁰ po świecie chodzę, to i nauczyłem się wielu rzeczy.

Stary zerknął spod krzaczastych brwi.

– A po młynarskiej części też pracowałeś?

– Nie, nie zdarzyło się. Ale ja także, panie Mielnik, prawdę powiem. Nocowałem ja w Pobereziu u niejakich Romaniuków. Dobrzy ludzie. I tam słyszałem, że ich syn do pracy u ciebie zgodzony. Ale on w Oszmianie robotę dostał w kooperatywie i wracać nie chce.

Prokop nachmurzył się.

– To ciebie Romaniuki przysłali?

– Gdzież tam. Ale posłyszałem, to, myślę, skorzystam. Zająć i zapytać nie grzech. Chcesz, to weźmiesz mnie, nie chcesz, nie weźmiesz.

Prokop wzruszył ramionami.

– Jakże ja mogę ciebie wziąć, do domu obcego człowieka puścić?

– Ja i nie napraszam się.

– To i mądrze robisz. Nie znam ciebie ani nikt ciebie tu nie zna. Sam rozumiesz. Może ty i dobry człowiek, bez żadnych złych zamiarów, ale może i zły. Nawet twego nazwiska nie wiem, ani skąd ty rodem.

– Nazwisko moje Antoni Kosiba, a rodem ja z Kalisza.

– Kto by go wiedział, gdzie ten sam Kalisz.

– Pewno, że daleko.

– Świat jest wielki – westchnął Prokop – a ludzie na nim rozmaici.

Zapanowało milczenie, lecz młynarz po chwili zapytał:

¹⁰ lat ze dwadzieścia – dalej w tekście inaczej: dwanaście. [przypis edytorski]

– A cóż ty chodzisz, że miejsca nigdzie nie zagrzejesz? To domu nie masz?

– Nie mam.

– I baby swojej nie masz?

– Nie.

– A dlaczego?

– Nie wiem... Od baby nic dobrego na świecie.

– Co prawda, to prawda – przyznał Prokop – przez nie tylko zgorszenie i kłopoty. Ale zawsze należy się ożenić. Takie prawo boskie.

I pomyślał stary Prokop, że to prawo dla niego okazało się okrutne. Urodziła mu wprawdzie żona trzech synów i córkę, ale nie na pociechę, tylko na nieszczęście.

Rozmyślania jego przerwał przybysz:

– Pewno, że mnie nie znasz. Ale przecie u ludzi pracowałem, świadectwa mam. Możesz je przeczytać.

– I czytać nie będę. Z czytanego i z pisanego nie ma nic dobrego.

– Dokumenty też w porządku. Żebym złodziej był, nie pracy bym szukał, tylko co ukraść. Jakbym był złodziejem, to już dawno zamknęliby mnie w więzieniu. A ja już dwanaście lat chodzę. I nawet nie miałbym ukryć się u kogo, bo nikogo bliskiego nie mam.

– A dlaczegoż nie masz?

– A ty masz? – zapytał przybyły.

Młynarza to zastanowiło.

– Jakże? Mam rodzinę.

– Ale jakby, nie daj Boże, wymarła, to znalazłbyś bliskich?... Znalazłbyś życzliwych, serdecznych, co pomogliby ci w biedzie?...

Nieznajomy mówił jakby z goryczą i patrzył w oczy Prokopowi.

– Nikt nie ma bliskich – zakończył, a Mielnik nic na to nie odpowiedział.

Pierwszy raz w życiu podsunięto mu taką myśl i wydała mu się prawdziwą. Toteż przyjaźniej spojrział na przybysza.

– Co tam ludzie o mnie mówią czy myślą – powiedział – niewiele mnie to obchodzi. Pewno i tobie bajek naopowiadali. Ale ja sam wiem, jak należy się żyć. Krzywdy ani biedy niczyjej nie chcę. Przyjdzie kto do mnie, to głodny nie odejdzie. Bogiem się świadczę! Tak i tobie powiem: mnie chleba nie brakuje i ty się najesz. Pewne i to, że nie pozwolę ci w rowie przenocować. Kąt się znajdzie. Ale roboty dla ciebie nie mam. Tak ci powiem: wydajesz się i niegłupi człowiek, i może uczciwy. Ale mnie potrzebny robotnik zdrowy, silny, młody. A ty już swój wiek masz.

Na to przybysz wstał bez słowa. O kilka kroków od domu leżał w trawie kamień młyński, pęknięty przez pół. Pochylił się nad nim, podłożył dłonie pod jego połówkę, rozstawił nogi, zaparł się i podniósł. Trzymał go tak chwilę, w milczeniu patrząc na Mielnika, po czym rzucił, aż ziemia zadudniła.

Prokop powoli nabijał swoją fajkę. Przybysz usiadł obok, wyciągnął z kieszeni papierosa. Zapalił i młynarz powiedział:

– Już południe dochodzi.

– A dochodzi – potwierdził przybysz, zerknąwszy na słońce.

– Pora na obiad. Cóż te baby porządku przy dniu świętym nie pilnują.

Baby jednak pilnowały, bo właśnie rozległ się z sieni piskliwy głos dziewczynki:

– Dziadzia! Obiad!

– Chodź, zjesz z nami, co Bóg dał – mruknął Prokop, wstając.

– Bóg zapłać – odpowiedział przybysz i poszedł za nim.

Z sieni, gdzie nie było podłogi, wchodziło się na prawo przez wysoki próg do pokojów, a na lewo przez jeszcze wyższy do izby, czyli do obszernej kuchni, która była również jadalnią i w której żyło się przez cały dzień. Niemal ćwierć izby zajmował olbrzymi piec wapnem bielony. Z wielkiego

otworu buchał żar. Na jego czerwonym tle czerniały pękate sagany, sycząc, bulgocząc i napełniając powietrze zapachem smacznej stawy. Na piecu i na dobudowanych leżakach, gdzie zimą sypiali starsi i dzieci, znajdowały się teraz tylko jakieś rupiecie przykryte pasiastym kilimem.

Nieotynkowane, ale oszalowane ściany pokryte były setkami barwnych ilustracji. W rogu wisiał złocisty ikonostas ubrany różnokolorowymi papierkami, a przed nim zawieszona na mosiężnych łańcuszkach paliła się mała lampka oliwna.

W tymże rogu stał wielki stół, przy niedzieli nakryty obrusem z grubego, czystego płótna. Na obrusie leżał potężny, płaski bochen chleba, leżały łyżki drewniane i aluminiowe, widelce, noże i sól w zielonej maselnicy, której przykrywka wyobrażała owcę z jagniętami. Pod ścianami biegła szeroka ława, a nad nią półki przykryte gazetami powycinanymi w ząbki. Na półkach stały misy, dzbany, kubki, talerze, garnki emaliowane i sagany, a na honorowym miejscu sześć rondli miedzianych, błyszczących ostrą, metalową czerwienią.

W izbie było sześć osób. Jedna stara, zgarbiona baba, dwie dość młode jeszcze kobiety i blada dziewczynka o pięknych, czarnych oczach, wyglądająca na lat trzynaście. I dwaj mężczyźni: tęgi, rudy chłop o szerokich barach, siedzący skromnie przy drzwiach i młody, wysmukły brunet, w którym przybyły od razu domyślił się syna gospodarza, Wasila – Wasil siedział na ławie za stołem, podparty na łokciu, i patrzył w okno. Wejście ojca i nieznanego nie przerwało mu smutnych rozmyślań.

Natomiast baby zakotłowały się i zakrzętnęły do podawania. Po chwili już dymiły na stole dwie misy: jedna z tłustym barszczem, tego zabielanym, druga z gotowanymi kartoflami.

Dla Prokopa i dla Wasila postawiono głębokie fajansowe talerze. Reszta miała jeść ze wspólnych mis. Stary usiadł na honorowym miejscu pod obrazami, szeroko przeżegnał się, inni poszli jego śladem i po chwili w izbie rozległo się smakowite siorbanie. Obecność nieznanego gościa nikogo tu nie zdziwiła. Nieraz się zdarzali. Nikt też nań nie zwrócił szczególnej uwagi. Między sobą z rzadka przerzucali się urywanymi zdaniem, raz polskimi, raz białoruskimi, jak wszyscy w tych stronach. Wkrótce misy opróżniły się i stara gospodyni, nazywana „matką Agatą”, zwróciła się do jednej z kobiet:

– Nuże, Zonia! Co, zaczadziłaś? Ruszże się!

Zonia, wysoka, szerokobiodra baba poderwała się, chwyciła puste misy i pobiegła do pieca. Wzięła stojący w kącie uchwyt na długim kijku, szybko wsunęła go do rozpalonej czeluści i wydobyła z niej sagan. Jej zdrowe, pucułowate policzki zaczerwieniły się od ognia, a gdy wracała z pełną misą, musiała ją trzymać w wyciągniętych rękach: miała wyjątkowo duże i pełne piersi.

Po barszczu przyszła kolej na mięso, gotowaną wieprzowinę, pokrajaną w kawałki wielkości pięści, tłustą i przerastałą.

– Olga! – zaskrzeczała niecierpliwie matka Agata, zwracając się do drugiej kobiety. – Odkrójże bratu chleba! Nie widzisz!

Olga, szczupła i zwinna, sięgnęła po bochenek, uniosła go lekko, oparła o siebie i odcięła długą, cienką i równą kromkę.

– I mnie chleba, mamó – upominała się dziewczynka nazywana Natałką.

– I człowiekowi nie zapomnij – burknął Prokop.

Olga zerknęła na gościa i położyła przed nim takąż zgrabną kromkę.

– Dziękuję – powiedział, a ona zaśmiała się i kiwnęła głową.

– Nie ma za co.

– Z daleka jesteś?

– Z daleka, z Kalisza.

– To i w Wilnie byłeś?

– A byłem!...

– I Ostrą Bramę widziałeś?...

– Widziałem. Tam obraz Matki Boskiej, cudowny obraz.

Prokop spojrział na syna spode łba i znowu spuścił oczy.

– Każdy wie, że tak jest – mruknął.

– A ty cudu sam widziałeś? – zagadnął Wasil.

– Widzieć nie widziałem, ale ludzie opowiadali. O różnych cudach.

– A na przykład, zrób łaskę, opowiedz.

– Ja tam takich rzeczy nie umiem – zastanowił się gość – ale co słyszałem, jak potrafię, powtórzę.

– Powtórz, powtórz – mała Natałka przysunęła się doń.

Zaczął niechętnie mówić o matce, której bliźnięta urodziły się martwe, o kupcu, któremu towar złodzieje ukradli, o bluźniercy, któremu język usechł, żołnierzu, któremu na wojnie obie ręce urwało, a wszystkim Ostrobramska pomogła.

Skończyli właśnie jeść i kobiety zabierały się do sprzątnięcia, ale stanęły nieruchomo, zasłuchane w słowa opowiadającego. On zaś z natury widać milczek, mówił cicho i krótko.

– Dużo i innych cudów nasłuchałem się. Wszystkiego nie spamiętam – zakończył.

– Ale to przecie katolicki obraz? – zapytała Zonia.

– Katolicki.

– Interesuje mnie – odezwał się znów Wasil – czy Ona i ludziom innej wiary pomaga, na ten przykład prawosławnym?

– Tego nie wiem – gość wzruszył ramionami – ale tak myślę, że byle tylko był dobry człowiek, to każdemu pomoże.

– Byle, wiadomo, chrześcijanin – gniewnie poprawiła go matka Agata. – Nie powiesz przecie, że pomogłaby Żydu!

– Żydu? – odezwał się basem milczący dotychczas rudy parobek. – Na Żyda Ona jeszcze by cholere zeszła. I taki skutek.

Zaśmiał się głośno i klepnął się po kolanach.

Stary Prokop wstał i przeżegnał się. Było to sygnałem dla pozostałych. Kobiety wzięły się do mycia naczyń. Mężczyźni wyszli przed dom oprócz Wasila, który został przy stole. Mielnik wypalił fajeczkę, po czym przyniósł sobie kozuch, rozesłał go pod klonem na trawie i położył się, by zażyć drzemki po sytnym obiedzie.

– Ja tu za robotnika służę – zagaił rozmowę rudy chłop, zwracając się do siedzącego obok przybysza. – Już szósty rok służę. Dobry młyn. A ty z fachu kim będziesz?

– Ja bez fachu. Różne roboty znam...

– Jakbyś tu na noc został, a rankiem miał ochotę, to jeżeli na ślusarskiej robocie rozumiesz się, poprawisz mi rewolwer. Zaciął się i kurek nie podnosi. Diabeł w niego jakiś wstąpił.

– O nocleg prosiłem; pozwolili, to i przenocuję. A rankiem chętnie zobaczę. Trochę umiem ślusarki.

– To i podziękuję tobie.

– A nie trzeba. I tak za gościnność chciałbym się wypłacić. Dobrzy to ludzie.

Parobek potwierdził. Ludzie szczerzy, nic im zarzucić nie można. Stary wymagający i surowy, ale sprawiedliwy. Ostatniego grosza z człowieka nie wyciągnie i ostatniego potu nie wycisnie. Chociaż opowiadali o nim, że rodzzonego brata z torbami puścił i że ten dzieci mu przeklął. Ale nie wiadomo, jak tam było, bo było dawno. Więcej jak czterdzieści lat temu. A co do przekleństwa, to może i było, bo w dzieciach Prokopowi nie powiodło się. Najstarszy syn utonął, średni na wojnie zginął. Została po nim tylko wdowa, taż właśnie Zonia, że z biednych była, to już u świekrów po śmierci męża została. Zdrowa baba i młoda jeszcze. Niejedną dziewczuchę zakasuje. Stara Agata jej nie lubi. Przyczepia się. Były różne powody, ale teraz... Nawet z Olgą-majstrową, córką Prokopa, pogodziły się. Tylko stara bardziej zawzięta. A Olga też dobra baba. Zła nikomu nie życzy...

– Wczoraj niosę siano do chlewu, a ona krowę doi. I powiada: Słuchaj, Witalis, tobie już dawno pora żenić się. A mnie śmiech. Gdzie mnie żenić się. To i mówię: Chyba z tobą, Olga. A ona, wiem, do

tego nauczyciela w Biernatach upodobanie ma. To wyszczerzyła zęby i mówi: Tobie, mówi, Witalis, nie ja, mówi, w głowie. Tobie by Zonia, mówi, wdowa lepsza ode mnie.

Parobek zaśmiał się, splunął i dodał:

– Takie to u niej żarty. Ot, babskie sprawy.

Tymczasem i baby wyszły na powietrze. Olga z Zonią postrojone. Okazało się, że do Biernat idą na wieczorynkę. Mała Natałka pokręciła się i stanęła przy gościu.

– A ty naszego Wańkę widziałeś?

– Nie, a który to Wańka?

– To koń. On tłusty jak świnia. A jak ty nazywasz się?

– Antoni.

– A ja Natałka, a po nazwisku Szumińska. Mój ojciec majstrem w fabryce w Ludwikowie był.

Ty znasz fabrykę w Ludwikowie?

– Nie, nie znam.

– Bardzo tam pięknie. Pałac ogromny. A panicz na motocyklu jeździ. I piece wielkie w hali, jeden przy drugim. Bo w nich cegła wypala się. A inne są do fajansu i do porcelany. Bardzo ciekawe. A nasze stawy widziałeś?

– Nie, nie widziałem.

– No, to chodź, pokażę tobie, gdzie można kąpać się. To tam, koło lasu. Bo tu, w dolnym, niebezpiecznie. Wielkie jamy są i wiry. Dziadzio Prokop nikomu nie pozwala od czasu, jak mój wujek Albin tu załamał się na lodzie i utonął. Chodź, pójdziemy.

– Dobrze, pójdziemy – zgodził się.

Natałka cienkim głosikiem zasypywała go opowiadaniem. Szli brzegiem po wąskiej, twardo wydeptanej ścieżce. Tak obeszli stawy i dotarli do lasu.

Uwagę dziewczynki zwróciły grzyby.

– Boże mój – wołała – ile tu rydzów. Od piątku narosło, bo w piątek z ciotką Zonią wybierałyśmy wszystkie. Chcesz, zbierzemy!... Prawda, że dziś niedziela, ale jak dla zabawy coś robić to nie grzech. Sama babcia mówiła...

Na zbieraniu rydzów między wrzosami gęsto porastającymi zagajnik zeszło im całe popołudnie. Odpoczywali trochę, a później o zmroku wrócili do domu. W samą porę, bo już wołali ich do wieczery. Matki i ciotki nie było jeszcze z tańców i Natałka musiała pomagać babce Agacie. Przynieśli cały fartuch rydzów. Żeby nie popsuły się, należało je przebrać i zalać wodą.

Po wieczery i uprzątnięciu wszystkiego Prokop, a po nim i stara, poszli spać do pokoi na drugą stronę sieni. Parobek Witalis wziął na ręce ich syna, kalekiego Wasila, i też go zaniósł do pokoi. Sam wrócił, zza pieca wyciągnął dwa sienniki, ułożył je na ławkach pod ścianami i powiedział:

– Kładź się. Przenocujesz jako tako. Much już dzięki Bogu niewiele.

Pozamykał drzwi, zgasił lampkę i położył się. Gość zrobił to samo. Wielką izbę zaległa cisza. Z początku rozlegało się jeszcze brzmienie much, nim nie usadowiły się do snu, a potem to już tylko zza ściany dolatywał spokojny, jednostajny szum wody we młynie. Cicho tu było, ciepło i dobrze. I zasypiało się lekko.

Ciemno jeszcze było, gdy obudziło ich skrzypienie kół, tupot kopyt końskich i pokrzykiwanie: ludzie przywieźli żyto do młyna. W sieni rozległo się chrząkanie starego Prokopa. Witalis zerwał się, gość również. Wsunęli sienniki za piec.

Prokop Mielnik wszedł i mruknął:

– Niech będzie pochwalony...

– Na wieki... – odpowiedzieli.

– Co stoicie? Ruszaj się, ty diable – zwrócił się do Witalisa. – Zaporę odstawić!

Spojrzał ponuro na gościa i dodał:

– A ty co? Bierz się do roboty! Nie słyszysz? Ludzie ziarno przywieźli!...

- To znaczy, że weźmiesz mnie do pracy? – zapytał uradowany.
- Niech tam już. Wezmę.

Rozdział VI

Od tego dnia zadomowił się Antoni Kosiba w młynie Prokopa Mielnika. A chociaż nie śmiał się nigdy, a uśmiechał bardzo rzadko, było mu tu dobrze jak nigdzie dotychczas. Roboty się nie bał, rąk ani pleców nie żałował, w gadanie nie lubił się wdawać, toteż stary Prokop nic mu nie miał do zarzucenia. Owszem, nawet zadowolony był z nowego parobka. Jeżeli zaś niczym tego nie objawiał, to tylko dlatego, że nie leżało to w jego zwyczajach.

Antoni Kosiba spełniał wszystkie prace, jakie na niego przypadły. Czy przy stawidłach, czy przy zsypance, czy przy wadze, czy przy żarnach. Gdy co psuło się, zabierał się do naprawy, a że bystry był widać z natury, miało się w nim wygodną wyrękę. Nieraz klamra pękła albo i trybowe koło na osi obsunęło się, a on już wiedział, co trzeba zrobić, umiał zrobić i obywało się bez kowala i bez stelmacha.

– Zdolny ty jesteś, Antoni – mawiał Witalis. – Znać, że po świecie bywały.

A znowu innym razem:

– Nie taki ty jeszcze stary. Będziesz mądrze Prokopowi służyć, a to patrz, jeszcze i żonę sobie wysłużysz, Olgę-wdowę poślubisz...

– Gadasz, sam nie wiesz co – Antoni Kosiba wzruszył ramionami – ani im to w głowie, ani tym bardziej mnie. Po licha mi to?

Dudniło koło młyńskie, szumiął obfity strumień wody, warczały żarna. Białe pył mączny unosił się w powietrzu, napełniając je chlebnym smakiem. Od świtu do nocy nie brakło zajęcia. Owszem, raczej czasu nie stawało. Za to w niedzielę można było odetchnąć i kości rozprostować. Ale i wtedy Antoni nie starał się zbliżyć ani do wesolej Zoni, ani do Natalczynej matki, Olgi, chociaż obie go lubiły i odnosiły się doń życzliwie. Najwięcej w czasie odpoczynku przebywał z Natalką.

Dzień był do dnia podobny i jemu samemu zdawało się, że już tak zawsze będzie, gdy zaszedł wypadek, który nie tylko wszystko zmienił, lecz i dla rodziny Prokopa Mielnika miał być wielkim zdarzeniem.

Stało się to tak: w sobotę, tuż przed zatrzymaniem koła, pękła dębowa piasta. Co żywo należało ją zmcować obręczą żelazną. Prokop przyniósł niemal biegiem narzędzia i Antoni ze trzy godziny pociał się, zanim reperacji dokonał. Ponieważ zaś narzędzia stary ponad wszystko cenił i trzymał je zawsze przy swoim łóżku, kazał skrzynkę tam odnieść. Antoni wziął ją na ramię i poszedł. Dotychczas nigdy do pokojów nie zaglądał, bo ciekawy nie był, a i nie miał po co.

Czysto tu było nadzwyczajnie. Białe, nakrochmalone firanki w oknach i doniczki z pelargonią. Na wysokich łóżkach piętrzyły się aż po sufit piramidy pulchnych poduszek, podłoga była czerwono malowana.

Antoni cofnął się, by staranniej wytrzeć nogi, i wszedł. W drugim pokoju zobaczył Wasilkę. Wasilka leżał w łóżku i płakał. Gdy zobaczył Antoniego, zaczął uspokajać się, ale nagle zawołał:

– Słuchaj, Antoni, ja już dłużej nie wytrzymam. Lepsza śmierć jak takie życie. Ja ze sobą skończę. Tak mnie już pisano.

– Nie mów byle czego – spokojnie odpowiedział Antoni. – Różne nieszczęścia ludzi spotykają, a przecież żyją...

– Żyją? To po co?... Cóż ja, jak ta kłoda mam gnić?

– Po cóż gnić...

– A co ze mnie? Ani komu, ani sobie. Tak i będzie. Leżę tu i wciąż myślę. I domyśliłem się: nie ma innej rady.

– Zostaw głupstwa – mruknął Antoni, ukrywając wzruszenie. – Młody jesteś.

– I cóż że młody! Jakaż moja młodość, kiedy nogami o własnych siłach stąpać nie mogę. Żebym stary był, to niech... A to kara boska za grzech ojca! A ja mam za to cierpieć? Za co ja?... Ja stryjowi odebrałem jego część?... Nie ja! Nie ja! Tylko ojciec. Za cóż na mnie to kalectwo?...

Antoni spuścił oczy. Wprost nie mógł patrzeć na tego ślicznego chłopca, dzieciucha prawie, rozpaczającego nad sobą.

– Ty myśl o czym innym – bąknął bez przekonania.

– O czymże ja mogę myśleć, o czym? Kiedy co spojrzę na te swe nogi, to wolałbym się nie urodzić! O, zobacz!

Szarpnął kołdrę i odkrył się.

Wychudzone nogi, nienaturalnie cienkie, pokryte były na goleniach różowymi pręgami blizn, które jeszcze nie zdążyły zbieleć, i zgrubieniami.

Wasil coś mówił, lecz Antoni Kosiba nie słyszał tego, nie rozróżniał słów. Patrzył jak urzeczony. Czuł, że coś dziwnego z nim się dzieje. Patrzył tak, jakby już kiedyś taki widok miał przed oczami, jakby tak być powinno. Nieprzeparta siła kazała mu pochylić się nad leżącym. Wyciągnął ręce i zaczął obmacywać kolana i golenie. Jego grube palce pokryte stwardniałą skórą z nieomylną sprawnością wyszukiwały naciskami na zwiotczałe mięśnie kaleki krzywizny źle zrosniętych kości.

Dyszał ciężko, jakby przy wielkim wysiłku. Walczył z myślami. Ależ tak, tak: z nadzwyczajną jasnością to rozumiał. Kości przecie źle zrosły się. To nie powinno być tak. I tu też. Jakże!

Wyprostował się i otarł rękawem pot z czoła. Jego oczy świeciły się, a zbladł tak, że Wasilko zapytał:

– Co tobie?

– Czekaj, Wasil – odezwał się Antoni ochryłym nagle głosem – ty jak dawno spadłeś i połamałeś nogi?

– Piąty miesiąc... Ale...

– Piąty? Ale tobie zestawili?

– Zestawili. Doktor z miasteczka, z Radoliszek.

– I co?

– I mówił, że będę zdrow. W deseczki mi nogi zabandażował. Dwa miesiące leżałem, a jak zdjął...

– To co?

– To powiedział, że już nic nie pomoże. Takie połamanie, że żadnej rady nie ma.

– Że nie ma?

– Aha! Ojciec chciał mnie do samego Wilna wieźć do szpitala. Ale doktor powiedział, że nie ma po co, bo i sam Pan Bóg tu nie pomoże.

Antoni zaśmiał się.

– Nieprawda.

– Jak to nieprawda? – drżącym głosem zapytał Wasil.

– A tak, że nieprawda. Ot! Poruszaj palcami!.. A widzisz... Nieprawda! Jakbyś nie mógł poruszyć, to koniec. A stopami?

– Nie mogę – skrzywił się Wasil – boli.

– Boli?... To i powinno boleć. Znaczy, dobrze jest.

Zmarszczył brwi i zdawał się namyślać. Wreszcie powiedział z przekonaniem:

– Trzeba tobie nogi znowu połamać i prawidłowo kości złożyć. Jak muszą być. I wyzdrowiejesz.

Żebyś palcami nie mógł ruszać, to przypadło, a tak można.

Wasil wpatrywał się weń zdumiony.

– A ty, Antoni, skąd wiesz?

– Skąd?... – Antoni zawahał się. – Nie wiem skąd. Ale to nic trudnego. O, zobacz. Tu tobie zrosło się krzywo i tu, a na tej nodze jeszcze gorzej. Tu pęknięcie aż do kolana pewno jest.

Nacisnął i zapytał:

– Boli?

– Bardzo boli.

– A widzisz. I tu musi być tak samo!...

Kaleka syknął pod dotknięciem palca.

Antoni uśmiechnął się.

– Widzisz!... Tu trzeba przekroić skórę i mięśnie. A potem młoteczką... albo piłką. Zestawić w porządku.

Zwykle spokojny i raczej flegmatyczny Antoni był teraz zmieniony nie do poznania. Z ożywieniem tłumaczył Wasilowi, że nie wolno tracić czasu i trzeba to prędko zrobić.

– Doktor Pawlicki nie zgodzi się – Wasil potrząsnął głową. – On jak raz co powie, to później i słuchać nie chce. Chyba żeby do Wilna jechać?

Drżał cały pod wpływem tej nadziei, jaką w nim obudził Antoni, i wpatrywał się weń z niepokojem.

– Nie trzeba do Wilna! – gniewnie odpowiedział Antoni. – Nie trzeba nikogo. Ja sam! Ja sam to zrobię!...

– Ty? – już z zupełną niewiarą zawołał Wasil.

– A tak, ja. I zobaczysz, będziesz chodził po dawnemu.

– A skądże ty to możesz umieć? Toż operacja. Trzeba nauki kończyć, żeby takie rzeczy. Robił ty to kiedy?

Antoni spochmurniał. Nie mógł przewyciężyć tego dziwnego pragnienia, wprost coś go zmuszało do upierania się przy swoim zamiarze. Jednocześnie jednak zrozumiał, że mu nie dadzą, nie pozwolą, że nie będą wierzyć. Oczywiście nigdy nie zajmował się leczeniem ani tym bardziej zestawianiem złamanych nóg. Wśród wielu zawodów, do których się zaprawił w ciągu swojej wieloletniej wędrówki, wiedział to z zupełną pewnością, nigdy nikogo nie leczył. Sam teraz dziwił się sobie, skąd z taką pewnością, z takim przekonaniem mógł twierdzić, że kalectwo Wasila było do usunięcia. Dziwił się, lecz to w najmniejszym stopniu nie zmieniało jego przeświadczenia ani nie osłabiało postanowienia.

Antoni Kosiba nie lubił kłamstwa. Jednak tym razem nie chciał się go wyrzec, skoro mogło doprowadzić do celu.

– Czy robiłem to? – wzruszył ramionami. – Wiele razy robiłem. I tobie zrobię i wyzdrowiejesz! Jesteś niegłupi i zgodzisz się.

Drzwi uchyliły się i mała Natalka zawołała:

– Antoni, chodź wieczerzać! A tobie jak, Wasilka, do łóżka przynieść?

– Nie będę jeść – niecierpliwie odburknął Wasil, zły, że mu przerywają tak ważną rozmowę.

– Wynoś się, Natalka!

Zaczął ponownie wypytywać Antoniego i puścił go dopiero wtedy, gdy w sieni zaskrzeczał przynaglający głos matki.

W dwa dni potem stary Prokop zawołał do siebie przed młyn Antoniego. Siedział i pykał dymem ze swojej fajki.

– Coś ty nagadał, Antoni, mojemu Wasilce? – odezwał się z namysłem. – Niby względem tego leczenia.

– Prawdę powiedziałem.

– Co za prawdę?

– A że ja go mogę z tego kalectwa wyprowadzić.

– Jakże ty możesz?

– Trzeba rozciąć, kości na nowo rozłamać i z powrotem złożyć. One są źle złożone.

Stary splunął, pogłaskał swoją siwą brodę i machnął ręką.

– Przestań. Sam doktor powiedział, że tu nic nie pomoże, a ty, głupi, nieuczony, chcesz? ... Prawda, że w różnych majsterskich rzeczach rozumiesz się. Nie przeczę. Bo i grzech byłby... ale z ciałem ludzkim to ono nie takie proste. Trzeba wiedzieć, gdzie jaka kosteczka, gdzie jaka żyłeczka, która do której pasuje, która jakie ma znaczenie. Toż sam nieraz prosiaka albo cielaka na ten przykład rozbierałem. Ile tam różnych takich, co i nie połapiesz się. A w gruncie rzeczy co?...

Bydlę. A u człowieka przecie wszystko delikatne. Znać się na tym trzeba. To tobie nie sieczkarnia, co ją rozśrubujesz, wszystkie śrubki i tam inne takie na ziemi rozłożysz, a później nazad poskładasz, posmarujesz i lepiej rżnie jak przedtem. Umiejętność trzeba mieć, te to szkoły, te to nauki.

– Jak chcesz – Antoni poruszył ramieniem. – Czy ja napieram się, czy co? Mówię, że potrafię, bo już nieraz ludzi z takiej biedy wyciągnąłem, to i potrafię. Czy zdarzyło się tobie ze mną, żebym co na wiatr gadał?

Stary milczał.

– Czy zdarzyło się, żebym mówił o jakiej robocie, że ją znam, a później żebym ją zepsuł?

Mielnik skinął głową.

– To prawda! Grzech byłoby przeczyć! Zdatny jesteś i nie szkoduję sobie. Ale tu chodzi o mojego syna. Rozumiesz przecie. O ostatniego, jaki mi został.

– To chcesz, żeby został na zawsze kaleką? Bo i to powiem tobie, że nie lepiej z nim będzie, a coraz gorzej. U niego kawałki kości zostały odbite. Sam je ręką namacasz. Mówisz, że nauka potrzebna. Miałeś naukę. Ten doktor z miasteczka przecie uczony. A co zrobił?

– Jak uczony nie poradził, nieuczonemu i brać się nie ma po co. Chyba – zawahał się – chyba do Wilna wieźć, do bolnicy. Ale koszt ogromny i też nie wiadomo, czy co pomoże...

– I kosztów nie trzeba. Mnie grosza nie zapłacisz. Nie napieram się ja, Prokopie, powtarzam, że nie napieram się. Z dobrego serca, przez życzliwość dla was wszystkich chciałem. Jeżeli boisz się, że Wasila od tego może śmierć albo gorsza choroba spotkać, to uważaj na dwie rzeczy. Najpierw to twoje prawo będzie choćby mnie i zabić. Bronić się nie będę. A zechcesz, to do śmierci w służbie u ciebie za darmo zostanę. Cóż ja zrobię! Żal mi chłopaka, a wiem, że rady dam. Druga zaś rzecz, Prokopie, czy ty nie słyszałeś, jakie jemu myśli po głowie chodzą?

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.